



№ 36.

Prenumerata w Warszawie
rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 2 września 1876 r.

Prenumerata
na prowincyi i w cesarstwie
kwartalnie rs. 3.

Tom II.



Pomnik malarza M. B. Skotnickiego, w kościele św. Krzyża we Florencyi.

Treść numeru. Od redakcyi. — Pomnik malarza Skotnickiego we Florencyi (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Widoki Warszawy rytowane w XV, XVI i XVII wieku (dokończenie). — Przegląd polityczny. — Pojedynek szlachetnych (komedia). — Jarmark na konie w Bałcie (drzeworyt). — Przejazdka po Kurlandyi (z 2 drzeworytami). — Kronika paryzka. — Szachy. — Rebus. — Korespondencya z Krakowa. — Szwedkie dziecko, powieść (dalszy ciąg). — Instykt i inteligencya zwierząt (dokończenie). — Sztuka włoska w epoce odrodzenia (dalszy ciąg). — Krucjata filozofii oświaty (dalszy ciąg). — Pamiętnik młodej mężatki, powieść pani Craven (dalszy ciąg).

żonkę. Lutnia i penzle, jako godła talentu zmarłego Skotnickiego, wreszcie piękna postać niewieścia, przedstawiająca wiarę małżeńską, u stóp kolumny, uwieńczonej urną pogrzebową—oto cały grobowiec.“

Tak to, dzięki artystycznemu dziełu Włocha, przeszły do potomności cicha sława i skromne zasługi mało znanego na swęj ziemi Polaka...

T. J. Stecki.

Od redakcyi.

Tygodnik Ilustrowany wychodzić będzie i nadal pod temi samymi warunkami i w tych samych, znacznie powiększonych, rozmiarach, jakie nadaliliśmy mu jeszcze z początkiem roku 1874.

Prenumerata wynosi w Warszawie:

Rocznie . . .	rs. 8 kop. —
Półrocznie . . .	„ 4 „ —
Kwartalnie . . .	„ 2 „ —
Miesięcznie . . .	„ — „ 67 ¹ / ₂

Na prowincyi i w cesarstwie:

Rocznie . . .	rs. 12 „ —
Półrocznie . . .	„ 6 „ —
Kwartalnie . . .	„ 3 „ —

Pomnik malarza Skotnickiego we Florencyi.

W kościele Ś-go Krzyża we Florencyi, tym pantheonie wielkich sław narodu włoskiego, obok mniejszych lub więcej wspaniałych grobowców Dantego, Michała-Anioła, Macchiavellego, Galileusza i innych, wcisnęło się kilka skromnych pomników polskich, kryjących zwłoki zabłąkanych tu w krainie Etruryi rozmaitym zbiegiem okoliczności ziomków naszych. Ale że w Italii, kolébce sztuki, najskromniejsze nawet dzieła mają piętno artystyczne, więc i te grobowce polskie są prześlizne i zasługują na szczegółowy opis, na odtworzenie w rysunku. Dla naszego oka wydały się one tém piękniejsze, bo jakieś niby smętne na obczyźnie, osieroczone i pełne rzewnej poezyi.

Takim też niezaprzeczeniem jest pomnik Michała-Bogoryi Skotnickiego, w kwiecie wieku, zapewne z piersiowej choroby, zmarłego tu malarza, którego zwłoki uczciła tym marmurem przywiązana żona Elżbieta z Laszkiewiczów, Krakowianka, która i na swojej ziemi, pragnąc mieć przed oczyma ów pomnik mężowski, przez znakomitego rzeźbiarza Stefana Ricci wykonany, temuż mistrzowi reprodukowana z niego polecisz, umieściła ją w katedrze krakowskiej, w kaplicy Szafranów.

W sercach mieszkańców Krakowa żyje jeszcze świeża pamięć niezbyt dawno zmarłej tej pani, której żywot był wiązanką dobrych uczynków, cnót dawnych, w harmonii z narodową tradycją pozostających. Przez pamięć zapewne dla zawodu i miłośnictwa zmarłego męża, stała się Elżbieta Skotnicka gorliwą protektorką sztuki i artystów. Bogate i liczne zbiory artystyczne męża, umiędzierając, zapisała uniwersytetowi krakowskiemu — lecz niestety, pamiętny pożar 1850 r. zniszczył w znacznej części te zbiory, nim wola testatorki w wykonanie wprowadzona została.

Wracamy do pomnika Skotnickiego we Florencyi, o którym, aby nas o stronność dla rzeczy swoich nie posądzone, przytoczymy zdanie znawcy obcego. Uczony Valéry w dziele „Voyages en Italie“, tak się o tym pomniku wyraża, (dajemy słowa jego w przekładzie): „Grobowiec hrabiego (?) Józefa Skotnickiego, Polaka, miłośnika sztuk pięknych, zmarłego w 33 roku życia na chorobę chroniczną, jedno z najlepszych dzieł pana Ricci, wzniesiony został przez młodą jego mał-

We środę 18 (30) sierpnia o godzinie 10 minut 23 wieczorem, Jego Cesarzka Mość Najjaśniejszy Cesarz, w towarzystwie Ich Cesarzkich Wysokości: Wielkiego Księcia Cesarzowicza Następcy Tronu, Wielkiej Księżny Cesarzowiczowej, Wielkich Księżąt: Sergiusza i Pawła Aleksandrowiczów, jakoteż Warszawskiego Generał-Gubernatora, który na spotkanie Najjaśniejszego Pana wyjechał na stacyą Łapy, raczył przybyć z St.-Petersburga do Warszawy, koleją żelazną st.-petersbursko-warszawską, na dworcu której powitany był przez Jego Cesarzką Wysokość Wielkiego Księcia Mikołaja Mikołajewicza Starszego, przybyłego o godz. 8 m. 53 tegoż wieczora z St.-Petersburga pociągiem nadzwyczajnym, przez wszystkich znajdujących się w Warszawie i przybyłych tu wojskowych Swego orszaku, jako też przez Małżonkę Generał-Gubernatora Hrabinę Kotzebue, i raczył przyjąć z raportami: Kommandanta, Ober-Policmajstra, Naczelnika gubernii warszawskiej, Dowódcę pułku ulanów Swego Imienia, poczem udał się do pałacu belwederskiego. — Na całej drodze przejazdu do Belwederu, uroczyste iluminowanój, oświetlonój ogniami bengalskimi i ozdobionój flagami, dywanami i kwiatami, Najjaśniejszy Pan witany był przez tłumnie zebranych mieszkańców miasta, wyrażających swą radość z przybycia ubóstwanego Monarchy głosnemi i nieustającymi okrzykami „hura“, jako też przez kilka umieszczonych po drodze wojskowych i prywatnych orkiestr, wykonywających hymn narodowy „Boże Cesarza chroń.“ (G. P.)

Kronika tygodniowa.

W ludzkiej to leży naturze narzekać i biadać, a nigdy z niczego nie być zadowolonym.

Wiosenne deszcze i żniwa przerażały umysły rolników; trwoga o przyszłe urodzaje i plony przybrała charakter paniczny — a przecież okazała się płonną. Ze wszystkich prawie stron kraju słyhać o dość pomyślnych zbiorach, o obfitych owocach pracy, i oto z wielkiej chmury mały deszcz, jak to bywa zwykle.

My, Warszawiacy, słuchamy jednak o tém wszystkim, jak o żelaznym wilku. Dla nas na polach nigdy się dosyć nie rodzi, w gumnach biada, a w stodołach pustki. Choćby zasięw przyniósł setne ziarno, my płacimy za chleb, jak w czasie największego nieurodzaju, a za mięso, jak gdyby wół i baran były rzadkością. Jarzyny dla nas, to specyał drogocenny, owoce — rzecz pojawiająca się tylko w marzeniach sennyh, bo na jawie narzycie nam nawet o nich niewolno. Niech rolnik z radości zacięra ręce i uśmiecha się ku ozłoconym niwom, my nie spodziewajmy się bynajmniej, aby ciężkie warunki życia przestały nas trapić.

Warszawa nie ulega fluktuacyom cen na przedmioty pożywienia; obniżka ich od pewnego czasu jest tu rzeczą prawie nieznaną, a do usprawiedliwienia podwyżki dosyć lada pozor. I może mają słusność ci, co prawią podejrzliwie, że nasi panowie producenci i pośrednicy handlowi robią z cenami, co im się podoba. Jeżeli bowiem zdanie to niekoniecznie idzie w parze z zasadami ekonomii politycznej, to czyż nie sprzeciwia im się i drożyzna w mieście, gdy za miastem wszystko tanieje?... Jakże tu wyjaśnić ten fenomen, wcale w Warszawie nie fenomenalny?...

A jednak... czyżby nie można znaleźć środka

na to utrapienie, które się zbyt długo tu gnieździ? Nam się zdaje, że niepodobienstwem nie jest, aby czy to przez unikanie pośrednictwa w zakupie żywności, czy przez zawiązywanie spółek do jej zakupna w partjach wielkich, zlemu nie można było zaradzić. Handel cząstkowy, obroty kapitałów drobnych i, co za tém idzie, wyciąganie grubych procentów — oto istotna plaga naszych miejskich targów. Do konkurencyi z drobnym handlem nie staje żadna poważniejsza potęga handlowa, a tym sposobem ludność Warszawy płacić musi grube pieniądze na utrzymanie i bogacenie wielu drobnych handlarzy. Brak też pośrednictwa na szerszą i poważniejszą skalę mnoży całe falangi pośredników cząstkowych, których interesem jest sztuczne oddziaływanie na zwyżkę cen. I przy takim stanie handlu istotnie zwyżka tylko jest możliwa, a obniżenie staje się niedoścignionym ideałem.

Czyż tak będzie zawsze?...

Pomimo długich i szerokich dowodzeń, że należy koniecznie usunąć żebractwo uliczne, zamiast niknąć, z dniem każdym mnoży się ono i coraz śmielej wychyla się z zaułków miasta na najpokazniejsze jego ulice. Co prawda, zewnętrzny jego charakter ulega zmianie. Dawniej żebrak musiał być ślepy, kulawy, bez ręki, albo dotknięty nieuleczoną chorobą; dzisiaj obchodzi się bez tych wszystkich dodatków i wyciąga rękę w biały dzień, napastuje przechodniów, upomina się o jałmużnę, jak o zwrot należności, a jeżeli mu prośba nie przynosi datku, potrafi złorzeczyć. Ale żebractwo uliczne jest jeszcze fraszką w porównaniu z żebractwem podwórkowym. Całe tłumy obdartsów włóczą się po domach, tłoczą się do drzwi mieszkań, i, co jest wynalazkiem ostatnich lat kilku, żebrzą w sposób konfidencyonalny, upewniając nieledwie że przyjmują tylko dlatego datki, aby nie obrazić ofiarującego. Są tacy co pragną wrócić do stron rodzinnych, ale nie mają za co; inni co szukają zajęcia, nim je znajdą, potrzebują zjeść obiad; ten świeżuteńko wyszedł ze szpitala, tamten przez losowe wypadki stracił majątek... pańską fortunę, jak zapewnia, a trzeci uległ straszliwej klęsce pożaru. Jakaś kobieta, porządnie ubrana, żebrze ze łzami w oczach na trumienkę dla umarłego wczoraj dziecięcia i... chowa je przez rok cały. A iluż jest żebraków-artystów, którzy zapomocą klarnetu, katarynki i skrzypiec rozdzierają serca i uszy niewinnych słuchaczy, którzy tylko jakim takim datkiem od ich kocięj muzyki uwolnić się mogą.

Żebractwo z dniem każdym coraz wyraźniej przybiera wszystkie cechy przemysłu, który musi być wcale korzystnym, skoro ma coraz liczniejszych adeptów, nielekających się groźnego współzawodnictwa.

A przecież tyle się już narozprawiano o konieczności zduszenia hydry żebractw na wszystkich jej punktach, tyle podawano środków... napróżno! Ani Towarzystwo dobroczynności, ani mnożące się instytucye miłosierne, ani zresztą bardzo czynne miłosierdzie po ulicach i placach klęski tej społecznej usunąć nie są w stanie.

Obecnie *Gazeta Kielcecka* donosi, że postanowienie Towarzystwa dobroczynności w Kielcach, iż nie dopuści ono żebractwa ulicznego, a kaléki i starców ubogich utrzymywać będzie własnym kosztem — pomyślnie sprowadza skutki. Pokazuje się więc że można coś dla tej sprawy zrobić, a jeśli Warszawa sama na pomysł pożyteczny co do tego zdobyć się nie może, niech się przypatrzy Kielcom.

Miasto to czterech używa środków przeciw pladze żebractwa: 1) utrzymuje starców i kaléki, jak się już rzekło, własnym kosztem; 2) usuwa żebraków przy współdziałaniu policyi i publiki; 3) mieszkańcy jego powściągają się od dawania jałmużny żebrakom do ręki i 4) składają stale pewne datki Towarzystwu dobroczynności, czyniąc je tym sposobem jedynym, a dobrze świadomym sprawę szafarzem.

Te cztery środki, tak proste, tak łatwe w zastosowaniu w Kielcach, możliwe są i w Warszawie.

Pierwszego z nich używa już nasze Towarzystwo dobroczynności, dając schronienie kalékom i starcom. Z drugim idzie trudniej, skoro, jak widać, żebractwo uliczne ma dosyć swobody i nie jest ścigane zbyt energicznie. Trzeci środek w zupełnym jest zaniedbaniu, a pierwszy lepszy żebrak, z czerwonym nosem i oczyma zamglonemi od gorzalki, choćby był chłopem silnym i zdrowym, więc zdolnym do pracy, znajdzie zawsze miłosierną a niebaczną dłoń, co datkiem wesprze... próżniactwo i pijaństwo. O użycie wreszcie czwartego i ostatniego środka wołano już i proszono... ale nie poszło z nim gładko i nieprędko pójdzie. Dobrzeby jednak było, gdyby Towarzystwo dobroczynności popróbowowało energicznej zachęty do składek stałych. Rozesłanie odpowiednich wezwań po domach, tak jak się to dzieje ze składką wielkanocną, niezawodnie pomyślny przyniosłoby skutek, a ludność miasta, przekonawszy się raz, że drobną lecz stałą ofiarą okupić się może od żebractwa tłumów, niepokojących ją na każdym kroku, chętnieby na przyszłość środek ten poparła.

Wznawiamy tę kwestyę dlatego, że głucho o niej od pewnego czasu, chociaż doniosłość jej zwiększa się z dniem każdym. Czyliż mamy czekać, dopóki tłumy włóczęgów nie przybiorą rozmiarów groźnych i nie staną się z żebraków rabusiami, biorącymi to gwałtem, czego dobrowolnie dać się im nie chce? Dzieje wielkich miast dostarczają mnóstwa podobnych przykładów.

A któż zaprzeczy stanowczo, że mnożące się z rokiem każdym pożary nie są w związku z żebractwem, które rośnie i obrzymuje?...

* * *

Muzeum przemysłowe, istniejące już, dzięki obywatelskiej ofiarności kilkunastu zacnych ludzi, krząta się około urządzenia dwóch wystaw, jak o tym donieśliśmy już dawniej, z których pierwsza, rolniczo-ogrodnicza, przypadnie w pierwszych dniach października, druga zaś, przedmiotów rękodzielniczych, w listopadzie. Do współdziałania w obu tych wystawach komitet Muzeum przemysłowego rozesłał bardzo liczne zaproszenia. Jest nadzieja że zaproszenia te przyniosą skutek pomyślny, a szczególnie co do wystawy listopadowej, która już teraz znajduje licznych a chętnych wystawców.

O zbawiennych owocach, jakie przynieść może urzeczywistnienie tej pięknej myśli, nie potrzebujemy tu szeroko się rozwodzić. Ogromne upowszechnienie wystaw w całym świecie dowodzi ich użyteczności, o której dzisiaj nikt już wątpić nie może i nie powinien. Niekażdy jednak wie, że wystawy wtedy dopięro sprowadzają pomyślne rezultaty, gdy mają wystawców o ile można najliczniejszych, to jest wtedy, gdy przedstawiają całkowity i pełny obraz przemysłu i produkcji, powszechniej na wystawach powszechnych, a miejscowej na cząstkowych. Kto więc ma cokolwiek do wystawienia, a nie czyni tego, ten przeszkadza sprawie wystawy, ten ukrywa nierozważnie część ogólnego obrazu, ten szkodzi postępowi produkcji i przemysłu, choćby sam u siebie z wyteżeniem sił wszystkich starał się je podnosić i pomnażać.

Ogólny współdziałal w wystawie jest więc rzeczą niezbędną.

Ważną nowość wprowadza komitet Muzeum do projektowanych wystaw, a szczególnie do drugiej — nowość, choć ona nowością na obczyźnie nie jest. Oto nagrody udzielane będą nietylko właścicielom zakładów fabrycznych, ale i robotnikom. Wywrze to niezawodnie wpływ zbawienny co do emulacji pomiędzy rękodzielnikami. Ważną też okoliczność stanowić będzie to, że na wystawie znajdą pomieszczenie nietylko wyroby fabryczne, ale i przedmioty pochodzące z drobnych warstatów. Każdy rzemieślnik najuboższy będzie mógł okazać owoc swej pracy, każdy będzie mógł sięgnąć po należną sobie nagrodę. Nikt tu nie będzie pierwszym — nikt ostatnim.

Jeżeli współdziałal w tej wystawie będzie powszechnym, to po raz pierwszy istotnie ujrzymy prawdziwy stan naszego rękodzielnictwa. Wy-

stawy dawniejsze sposobności do tego nie dawały; gromadziły one wyłącznie wyroby przemysłu fabrycznego, a warstaty pozostawiały w cieniu.

Godzi się też przypomnieć tym wszystkim, którzy dla kosztów przesyłki udziału w wystawie lękali się mogli, że koszta te będą prawie o połowę tańsze, niż zwykle. Koleje żelazne ofiarują pod tym względem wystawcom pewne ulgi, a droga żelazna warszawsko-wiedeńska pobierać będzie opłatę od przewozu w jedną tylko stronę, z powrotem dając go bezpłatnie.

* * *

O wy wszyscy, którzy wiek XIX, wiek telegrafów, humbugów, krachów, wędrówek kantorowych nazywacie wiekiem postępowym — słuchajcie!

W sławetnym mieście Lipnie, które ma swój plebs i swoją intelektualną arystokrację, powstał projekt utworzenia straży ogniowej ochotniczej. Projekt urodził się w głowie jakiegoś syna wieku postępowego, który jednakże zapomniał o tym, że telegrafy, humbugi i krachy nie przeszkadzają bynajmniej kwitnąć i krzewić się wierze w głębokie znaczenie frazesu: „jakoś to będzie.“ Projektodawca zapalił się do własnego pomysłu, rozkochał się w nim, nie dosypiał noce, aż wreszcie, trawiony gorączką zapału, wszem wobec i każdemu zosobna powiedział:

— Palimy się i niszczejemy, panowie!... Należy utworzyć straż ochotniczą!...

I oto, ku chwale sławetnego miasta Lipna, obywatela jego z bezprzykładną jednomyślnością projekt ten... odrzucili.

* * *

Wielokrotnie już, w miarę wychodzenia pojedynczych jego zeszytów, wspominaliśmy o „Piśmie świętym starego i nowego testamentu,“ wydawanym nakładem p. Michała Glücksberga. Obecnie wspaniała ta publikacja jest już zupełnie ukończoną, tworząc w 64 poszytach dwa ogromne tomy in folio, z 230 ilustracjami Dorégo.

Genialny ilustrator francuzki w rysunkach swych do Biblii nie dosięgnął wprawdzie tej wysokości, na której stanął w Piekłach Dante'go, w Donkiszocie, a nawet w Bajkach Lafontaine'a, zawsze jednak stworzył dzieło znakomite. Rodzaj talentu Dorégo w ogólności więcej się nakłania do scen namiętnych lub charakterystycznych, aniżeli do błogich, głęboką wiarą natchnionych epizodów religijnych. Dla tej samej więc przyczyny, dla której pod energicznym jego ółówkiem „Raj“ Dante'go o wiele jest słabszym od „Czysta“, a szczególnie od „Piekieł“ — i tutaj epizody spokojne, poetyczne nie dorównują wogóle wartością momentom namiętnym, nacechowanym grozą i potęgą dramatyczną.

Wydawnictwo całe, pod względem technicznym, nie nie pozostawia do życzenia. Druk bujny, czysty (szkoda tylko że zagraniczny), ornamentacja wykwiłtna, papier piękny i gruby, wraz z pysznymi rysunkami Dorégo, składają się na całość prawdziwie pomnikową, która, pomimo wysokości z konieczności ceny swojej, rozeszła się już i rozjeździe jeszcze szeroko między tymi, którzy pocięte religijną łączą pragną z rozkoszą artystyczną.

Przegląd polityki zagranicznej.

1 września.

Zawieszenie broni, lubpokój: oto najbliższe zadanie dyplomacji, która z początku nie chciała wcale mieszać się do tego, myśląc że oręż rozstrzygnie kwestyę ostatecznie i że Europa powołana zostanie conajwyżej do nadania swej sankcyi wymaganiom zwycięzcy, lub zmodyfikowania ich według swojej woli. Tymczasem upłynęło dwa miesiące, kilkadziesiąt tysięcy ludzi zginęło, a zwycięzcy jeszcze niema. Obie strony walczą ciągle

z różnym szczęściem i odnoszą tylko czasowe korzyści. Turcy, od chwili wdarcia się w granice Serbii, której część wschodnią spustoszyli, skierowali, jak wiadomo, wszystkie swoje siły na Aleksinacz, gdzie Czerniajew zgromadził prawie całe dwie armie, nadtimocką i naddryńską. Od dnia 19 z. m. toczył się ciągle przez dni sześć zacięty bój w okolicach tej twierdzy, pod murami każdego sąsiedniego fortu (a jest ich sporo), każdego szanca, po obu stronach Morawy. W pierwszych dniach szczęście się chwiała, ale 25 z. m., według doniesień serbskich, Czerniajew odparł dwa razy liczniejszego wroga pod Katun i Dobrujewacz, tak iż następnie mógł już działać zaczepnie i przy pomocy Horwatowicza wyparł Turków z granic Serbii pod Topolnicą. Dodać jednak wypada, że telegram urzędowy z Konstantynopola, przysłany d. 29 sierpnia do reprezentantów Porty za granicą, przeczy temu wszystkiemu, donosi że wojska tureckie zdobywają bezustanku podaleksinackie szanice i zapowiada niebawem bombardowanie tej twierdzy. Nie przywiązujemy zbyt wielkiej wiary do depesz tureckich, nawet urzędowych, tém bardziej gdy wiadomości prywatne, a wielostronne, zdają się dowodzić wiarygodności buletynów serbskich o wygranej pod Aleksinaczem; musimy atoli z pewnym zastrzeżeniem przyjmować nadto optymistyczne nowiny, zwłaszcza wzięwszy pod uwagę niezwykle pchopność, z jaką ks. Milan przyjął ofiarowane sobie przez konsulów pośredniemu rządów wielkich mocarstw, w sprawie wyjednania zawieszenia broni lub pokoju.

Nazajutrz po odebraniu tej pojedynczej decyzji rządu serbskiego, mocarstwa kazały doręczyć Risticzowi identyczne noty z zawiadomieniem, że się podejmują medycy, a jednocześnie rozpoczęły też odpowiednie kroki i w Konstantynopolu. Zgodne wystąpienie wszystkich rządów poręczających, t. j. podpisanych na traktacie paryskim, daje otuchę że się powiodą te zabiegi. Ale jeśli we wszystkim daleka przestrzeń dzieli projekt od wykonania, to w sprawie tej jesteśmy jeszcze dalecy nawet od wygotowania właściwego projektu układów. Trudności zachodzą olbrzymie. I ota chce uważać ks. Milana za buntownika, żąda od niego, żeby wprost udał się do Stambułu z prośbą o pokój, a o zawieszeniu broni nie chce podobno ani słuchać. Przymtem Czarnogórze nie bierze dotąd żadnego udziału w akcyi, mającej doprowadzić do pojednania. Tyle co do samego projektu układów. A co do treści, kłopoty są, naturalnie, jeszcze większe, jeszcze liczniejsze. Turcy mieliby ochotę zgniebić Serbię moralnie, obezwładnić materyalnie, bo nie widzą innego sposobu zabezpieczenia się od dalszych jej pokuszeń; Serbia zaś, a z nią i mocarstwa obce, pragną przyjąć za podstawę rokowań terytoryalne *status quo ante bellum*.

Obok tych wszystkich trudności, najważniejsze zachodzi pytanie, czy dyplomacya, nawet zdolawszy wyosobnić sprawę serbską z ogólnej sprawy wschodniej i załatwiwszy ją jako tako, potrafi również skutecznie rozwiązać smutne a palące zadanie polepszenia losu chrześcian tureckich. Wojna serbska, sama przez się, nie miała celu; cel jej leżał po za granicami Serbii i był więcej moralny, niż materyalny. Tysiące Serbów zginęło dla Bośniaków, Hercegowińców, Bułgarów; tysiące Bułgarów Turcy wymordowali przez Serbów. Krew ta niepowinna pójść na marne. Dyplomacya więc europejska, a po za nią europejskie armie, stoją dziś w obec tego samego zadania, co przed wojną, tylko jeszcze bardziej naglącego: uregulowania wewnętrznych stosunków tureckich na zasadach ludzkości i prawa. Zadanie może nie-tyle trudne, ile dla pokoju Europy niebezpieczne. Jeśli zaś dzisiejsza wojna ma tylko ustąpić miejsca obawie nowej wojny, to już byłoby lepiej dla sprawy trwałego pokoju, gdyby nienormalne stosunki uregulowane zostały raczej siłą oręża, niż zabiegami dyplomacyi.

(Ind. Bel. Sch. Ztg. Jour. des Deb. Nord. Timss.)

JARMARK NA DNIE W BAŁCIE.

Oddzielanie koni wybranych z tabunu.



POJEDYNEK SZLACHETNYCH.

Komedia w 4-ch aktach,
ORYGINALNIE PROZĄ NAPISANA

przez
Sewera.

(Nagrodzona na tegorocznym konkursie dramatycznym warszawskim). (*)

OSOBY.

Lord Harvey.
North Northamptonshire lord Burghley.
Lidya, siostrzenica lorda Harvey.
Letty, nauczycielka muzyki.
Juliusz.
Kidd, sekretarz lorda Burghley.
Kuff, bibliotekarz lorda Harvey.
Trotter, rządca zamku Harvey.
Bull, stary sługa lorda Harvey.
Peggy, jego żona, mamka Lidyi.
Pocock, dozorca więzienia.
Brick, młody negocjant.
Notaryusz.
Służący I-szy.
Służący II-gi.
Damy, panowie, służba i dżokeje.

(Rzecz dzieje się w 18.. roku, w akcie pierwszym w Brougham pod Londynem, następnie w zamku Harvey).

AKT I.

Scena przedstawia park przy samym zachodzie słońca (o zmroku), później oświetlony blaskiem księżyca. Po prawej stronie widzów gęsto rosnące drzewa, po lewej w możliwej głębokości boczna ściana zamku, ozdobiona portykiem i schodami prowadzącymi na ogród. Na scenie wśród klombów ławeczki.

Z chwilą podniesienia się kurtyny muzyka gra walca.

Scena 1.

LIDYA (*śpiewa z otwartego okna zamku*).

Piosnko luba, szczęście moje,
Dzwoń mi, dzwoń uroczol!
Niech na głos twój cudne roje
Marzeń mię otoczą.
Dzwoń radośnie
W lat mych wiośnie,
Miłość wróż mój duszy;
Niech czarowna nuta twa
Jego serce wzruszy!

LIDYA przy rozpoczęciu drugiej strofki ukazuje się we drzwiach zamku i schodząc po schodach do ogrodu, śpiewa dalej:

La la la la la!
Dzwoń, piosnko, dzwoń!
Przez gaj, przez błon,
La la la la la!
Płyn z echem doń!

Ach, jakże ciężko czekać, gdy się spodziewamy!... Nawet bardzo ciężko... Gdy liść zaszeleści na drzewie, zaraz serce bije i to tak głośno, że aż słuchać przeszkadza. A ten czas jakże wtedy idzie powoli!... Ciągnie się długo i długo, jak życie, smutne życie, ozdobione łzami... (*Zamyśla się.*) Życie ozdobione łzami? jak brylanty na szyi indyjskiego księcia, oszlifowane z zamrznionych łez jego niewolników... A czyż my często nie jesteśmy także niewolnikami życia?... Dotąd było mi ono uśmiechem, dziś zachodzi łzami, które nawet nie skrzepną w brylanty dobrych uczynków. Rozwijają się, jak mgła lub westchnienie, wyschną, jak rosa, i nie zostawia po sobie nic—nic, prócz smutnych wspomnień i zmiętego boleścią serca... A jednak kochać trzeba. Cóżbyśmy warte były, gdybyśmy nie kochały, kochać nie umiały, gdybyśmy nie były zdolne wytrwać i waleczyć?... Ach jak to ciężko waleczyć i wytrwać, gdy tylko kochać pragniemy. (*Wzdycha.*) Smutno sierocie. (*Śpiewa dalej.*)

(*) Niewolno przedstawiać na scenie, bez porozumienia się z autorem, którego adres wskaże redakcja Tygodnika Ilustrowanego.

Twoje dźwięki pierś mi wnoszą
Krwi gorętszą falą,
Przenikają mnie rozkoszą,
Lica ogniem palą.
Gdy tajemnie
W nim, jak we mnie,
Serce zdrzy wzajem,
O cudowna piosnko ma,
Świat mi będzie rajem.

O przyjdź-że, upragniona
Chwilo z cudy swemi,
Niech dusza się przekona,
Że jest raj na ziemi;
Niech ten o którym wiecznie
Myszę, marzę, śnię,
Poszepnie mi serdecznie:
„Luba! Kocham cię!”

Lecz czekać, gdy się nie spodziewamy, to okropne!... Taka przerażająca pustka wokoło. Zdaje się, że czujemy jak nam serce schnie, a dusza ucieka... (*Spogląda na kwiatki.*) I wy, moje kwiatki, tuląc swe listki, czekacie na krople rosy, które was odżywią, czekacie spokojne i zadumane o szczęściu, zapatrzone w błękit nieskończoności—zасыpiacie. (*Słychać w oddali tętent galopującego konia. Lidya słucha, po chwili, chwytając się ręką za serce, szepcze:*) Cicho, biedne serce, cicho! zaczekaj chwilę, bo jeśli tętent ominie zamek... (*Tętent się zbliża i nagłe ustaje; Lidya, przycisnąwszy rękę do serca.*) Ach, jak bije mocno! Cicho—pozwoł i mnie troszeczkę radości. (*Patrzy z wyteżoną uwagą w lewą od widzów stronę sceny.*) Juliusz!... (*Wybiega szybko. Muzyka cicho przegrywa walca.*)

Scena 2.

JULIUSZ I LIDYA *wchodzą z lewej strony razem. Juliusz trzyma w prawej ręce kapelusz, prowadząc Lidya pod ramię. Idą wolno.*

LIDYA.

No i widzisz, a tak cię prosiłam, żebyś się nie męczył. (*Siadają na ławeczce.*)

JULIUSZ.

Prosiłaś, a jednak oczekiwałaś mnie.

LIDYA.

Z początku nie przypuszczałam że przyjedziesz, byłam pewną że się nie odważysz być mi nieposłusznym. Jeżeli czekałam cały miesiąc, czyżbym nie mogła i dłużej poczekać? Lecz myślę sobie: a nuż przyjedzie zmęczony i będzie czekał—czekał—i smutny odjedzie.

JULIUSZ.

I wtedy, moją dzięcię, uczułaś litość...

LIDYA.

Troszeczkę i nad samą sobą... Nieraz gdy się wybieram do mojej Peggy i patrzę na zegar, którego skazówki, jakby naumyślnie, właśnie w ten czas odpoczywają sobie, to często lzy mi w oczach stają, ale ze złości, —słyszysz, mówię ze złości—gniewam się i irytuję.

JULIUSZ.

To okropne!

LIDYA.

Powiem ci prawdę, mój drogi: gdy się gniewam, jestem nieznośna, bo widzisz, należę do bardzo rozgrymaszonych istot.

JULIUSZ.

To straszne!

LIDYA.

Ludzie pieszczili mnie i rozpieszcili. Powinieneś znać swoją Lidya i jeżeli zechcesz kochać taką jaką jest, tę którą widzisz przed sobą, a nie Lidya wymarzoną w twój szlachetnej fantazyi...

JULIUSZ.

Kocham Lidya wymarzoną w fantazyi, lecz więcej jeszcze kocham tę którą widzę przed sobą, gdyż pierwsza jest zaledwie słabym odbiciem drugiej, rzeczywistej.

LIDYA.

To źle, bardzo źle; zaczynam się bać, abys później nie tęsknił za wymarzoną i w końcu nie uciekał od rzeczywistej, w której wady wcześniejszej lub później odkryjesz.

JULIUSZ.

Boję się kochać aniołów i abym silniej pokochał, jeżeli to być może, radbym w mej Lidyi odkryć coś więcej ludzkiego.

LIDYA.

Mów wyraźnie: chciałbyś wyszukać w swój Lidyi więcej ułomności, aby później nad nią tryumfować.

JULIUSZ.

I aby nie wzdychać do anioła, lecz kochać kobietę.

LIDYA.

To wiódz, mój panie, że nie będziesz długo czekał na odkrycie... przygotuj się.

JULIUSZ.

Słucham, słucham!

LIDYA.

Wyobraź sobie, często, bardzo często zdaje mi się że powinnam być wielką panią.

JULIUSZ.

Pod każdym względem masz prawo do tego, moje najdroższe dziecię.

LIDYA.

I nie przestraszasz się?

JULIUSZ.

Przeciwnie, cieszę się. Będiesz zawsze panią w swoim domu i wielką damą w naszym małym kółku, otoczona poważaniem i czcią twego męża.

LIDYA.

Ale ja mam i kaprysy wielkiej damy.

JULIUSZ.

W miarę zwiększających się naszych dochodów, podniesionych pracą, mamy wszelkie prawo dogadzać szlachetnym upodobaniom, a wierzę że moja Lidya może mieć tylko kaprysy, zgodne z jej wykształconym smakiem.

LIDYA.

Zawsze mnie pokonasz. (*Wzdycha.*) Twoja Lidya odkryje ci wielką tajemnicę.

JULIUSZ (*udając zdziwienie*).

Aż wielką?

LIDYA (*poważnie*).

Ogromną! Twoja Lidya musi cię kochać...

JULIUSZ.

Chociażby tylko przez wzajemność. (*Caluje ją w rękę.*)

LIDYA.

I niedość że cię musi kochać, lecz im mocniej cię kocha, tem lepszą się czuje. Nie bój się, Lidya wie, że im szlachetniejsze upodobania, tem są skromniejsze w swych wymaganiach. Lidya nie będzie marnowała ciężkiej pracy swego męża.

JULIUSZ.

I przyszły jej mąż daleko więcej zyska, gdy będzie kochał Lidya rzeczywistą, niż nieokreślone i mdłe obrazy własnej fantazyi, nieprawdaż?

LIDYA.

Nie wiem, nie wiem; lecz Lidya będzie się starała zasłużyć na jego przywiązanie.

JULIUSZ.

Moja Lidya, jak zawsze, albo rozkazuje, albo pozwala kochać się swojemu niewolnikowi. I ośmielony niewolnik odważa się na jedną prośbę.

LIDYA (*rozkazująco*).

Mów!

JULIUSZ.

Radbym pójść nad brzeg jeziora i tam rozważyć, o ile lazur oczu mej pani jest głębszy od wód niebieskich.

LIDYA.

Porównanie zrzeczne i dlatego przebaczam mu jego nieprawdę. Pójdźmy, jeżeli tylko nie jesteś zmęczony.

JULIUSZ.

Zmęczony?

LIDYA.

A rana?

JULIUSZ.

Z każdym dniem zapominam o niej więcej.

LIDYA.

A ja nie mogę zapomnieć, tem bardziej że ja tajemnica otacza.

JULIUSZ.

Zwykle wielkie tajemnice okrywają małe sprawy. (*Wstaje, podając rękę Lidyi i usiłując odwrócić*

tok mowy.) Ach, jak tu dobrze!... tak dobrze, że aż cicho!

LIDYA.

Czy czasem nie pomyślałeś sobie, że byłoby to może i nieźle, gdyby ten zamek do nas należał? (Idą powoli w stronę prawą od widzów.)

JULIUSZ.

Nigdy, gdyż szczęście nasze nie kryje się w zamkach—my je nosimy w sobie. Mam je już przy swoim boku. (Odchodzą.)

Scena 3.

BULL w białej chustce, czerwonej kamizelce, w zielonym surducie, czerwonej na twarzy, ogolony (dobrze jeżeli będzie rudy), wychodzi z prawej strony. PEGGY wygląda przez otwarte okno zamku. Rozmowa między Peggy a Bullem przyciszona. Peggy mówi żywo i prędko.

PEGGY.

Bull!

BULL.

Co?

PEGGY (głośno).

Zamknąłeś bażantarnię?

BULL za całą odpowiedź robi minę powątpiewającą o rozumie Peggy i daje jej to uczuć, bijąc się palcem po czole.

PEGGY (przybiega do Bulla z zamku).

Nie o to idzie. Nie widziałeś mojej dzieciny?

BULL.

Cicho!

PEGGY.

Bull, przestraszasz mnie.

BULL.

Cicho!

PEGGY.

Bull, co to znaczy?

BULL.

To znaczy, abys milczała.

PEGGY.

Milczę i milczę, a tu coraz gorzej i gorzej.

BULL.

Jeżeli mogłaś wytrzymać dotąd, cóż ci przeszkadza wytrwać i dalej. Jest to wprawdzie wielka praca dla ciebie, ale, radzę ci, pracuj.

PEGGY.

Ty zawsze byłeś i jesteś ordynaryjnym.

BULL (śmieje się z lekkim a cichym otwarciem ust).

A ty byłaś i jesteś nieszcześliwą.

PEGGY.

Od chwili kiedy zostałam żoną takiego człowieka jak ty.

BULL (z godnością).

Żoną Bulla?

PEGGY.

Tak, nigdy spokoju, nigdy wypoczynku, nigdy zdrowej rady—nic uczucia, nic przywiązania, nic serca....

BULL.

Serca?

PEGGY.

Ani kropli, ani odrobiny.—Ale nie o to mi idzie. Kochasz lub nie, wszystko mi jedno, przyzwyczaiłam się do twojej obojętności.

BULL (śmieje się.)

PEGGY.

Tak dłużej zostać nie może.

BULL.

Chcesz rozwodu?

PEGGY (wzrusza gniewnie ramionami).

BULL.

Nie chcesz?

PEGGY.

Jak długo trwają te schadzki?

BULL.

Cicho!

PEGGY.

Sześć miesięcy, rozumiesz, sześć miesięcy.

BULL.

A tobie co do tego?

PEGGY.

Co mi do tego?

BULL.

Ty patrz, lub zamykaj oczy, a zawsze milcz i basta.

PEGGY.

Ja mam milczeć, kiedy ze wszystkich stron zbliża się nieszczęście?

BULL.

Cicho!

PEGGY.

Cicho—kiedy nieszczęście wali się na twoją głowę, na moją głowę, na głowę mojej dzieciny, naszej pani...

BULL.

Co ci powiedziała twoja pani?

PEGGY.

Powiedziała mi: Peggy, ty jesteś moją mamką, a ja jestem sierotą—prawda?

BULL.

Prawda.

PEGGY.

Cicho, nie żądam twego potwierdzenia co do tego, o czym wszyscy wiemy.

BULL.

A zadajesz mi pytanie?

PEGGY (wzrusza ramionami).

Tak panienka powiedziała.

BULL.

I sprawiedliwie powiedziała.

PEGGY.

Dodając tylko tyle: „Ani słowa, rozumiesz?”

BULL.

Rozumiem.

PEGGY.

Cicho, tak panienka powiedziała.

BULL.

I sprawiedliwie powiedziała. A ty czego jeszcze chcesz?

PEGGY.

Czego ja chcę?... Człowiecze! człowiecze!

BULL (poważnie).

Kobięto! kobięto! czego ty jeszcze chcesz więcej?

PEGGY.

Ja chcę odwrócić nieszczęście, wiszące nad twoją zakutą głową.

BULL (z flegmą).

Nie odwracaj. (Biorąc Peggy za rękę, mówi cicho): Jeżeli lordowie się bawią.... (Słychać z prawej strony walcę śpiewaną przez Lidya. Bull odwraca się, pokazuje w prawą stronę, nakazując palcem milczenie, i wyprowadza Peggy).

Scena 4.

(LIDYA I JULIUSZ, trzymając się pod ręce, wchodzą).

LIDYA.

Przypuśmy że nie jestem... o nie, źle się wyrażam. Wyobraź sobie na chwilę.... (Siadają). Nie mogę dobrać słów do wyrażenia mej myśli.

JULIUSZ.

Więc nie dobieraj, aby sztuką nie zasłonić prawdy, a więcej jeszcze prostoty.

LIDYA.

Wyobraźmy sobie że ja.... (Zmienia ton głosu.) Czy uwierzysz? często zdaje mi się, że mogę być bogatą, bardzo bogatą.

JULIUSZ.

Gdy uboga Lidya zostanie moją żoną, rad będę wierzyć, że i bogata nie porzuci swego męża.

LIDYA.

Chcesz dopiero wierzyć, niedobry, a zatem wątpisz?

JULIUSZ.

Nie wątpię i wierzę, moje drogie dziecię.

LIDYA.

Powiedziałeś moje drogie dziecię, a nie dodałeś: moje rozpieszczone dziecię.

JULIUSZ.

Najdroższe i najwięcej rozpieszczone z dzieci!

LIDYA.

O tak, wybornie. A zatem, jako rozpieszczone dzieci, bawmy się w przypuszczenia.

JULIUSZ.

Czy i ja mam być rozpieszczonym?

LIDYA.

Może, a niezawodnie zepsuty mojemu ustęstwami.

JULIUSZ.

Aż tak dalece?

LIDYA.

Z pewnością.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ROZMAITOŚCI.

Widoki Warszawy, rytowane w XVI, XVII i XVIII wieku.

(Dokończenie).

9. Miedzioryt z tytułem *Varsovia*. Na dole grupy pieszych i konnych. Na Wiśle niema mostu, tylko kilkanaście statków, a na jednym parokonnym powóz. Pod ramkami objaśnienia po niemiecku i podpis *Elias Roock AC fecit Haered. Jer. Wolffii excudit. Aug. Vind.*

10. Miedzioryt z tytułem: *Warchsau die königl. Residenz, nach ihren schönsten Lagen gegen die Weichsel*. Na rzęce kilka statków. Rycina rzadka.

11. W dziele holenderskiem p. t. *Foond des vermoorste Hoopsteden en Handelpleetsen van de gehele wereld*, to jest widoki najrozmaitszych miast handlowych na całym świecie, wydane w Amsterdamie 1682 r. in folio, w którego pierwszym tomie znajduje się osiem bardzo pięknych widoków miast polskich, umieszczona jest także Warszawa.

12. W zbiorze map z XVII wieku i dawniejszych, wydanych w 66 tomach w Lejdzie p. t. *Gallérie agréable du monde*, czterdziesty czwarty tom obejmuje dziesięć miast polskich, pomiędzy którymi jest i Warszawa, z napisem: *La grande et belle ville de Varsovie en Pologne, capitale de la Mazovie*.

Pomiędzy rycinami wykonanymi w XVIII stuleciu cenniejsze są:

13. Miedzioryt z napisem: *Warschau, die gewöhnliche Residenz der Könige in Polen*. Po prawym boku ramki jest geograficzno-historyczne opisanie miasta, sięgające 1708 roku. Podpis *G. Bod. fec. et excud. Aug. Vi.*

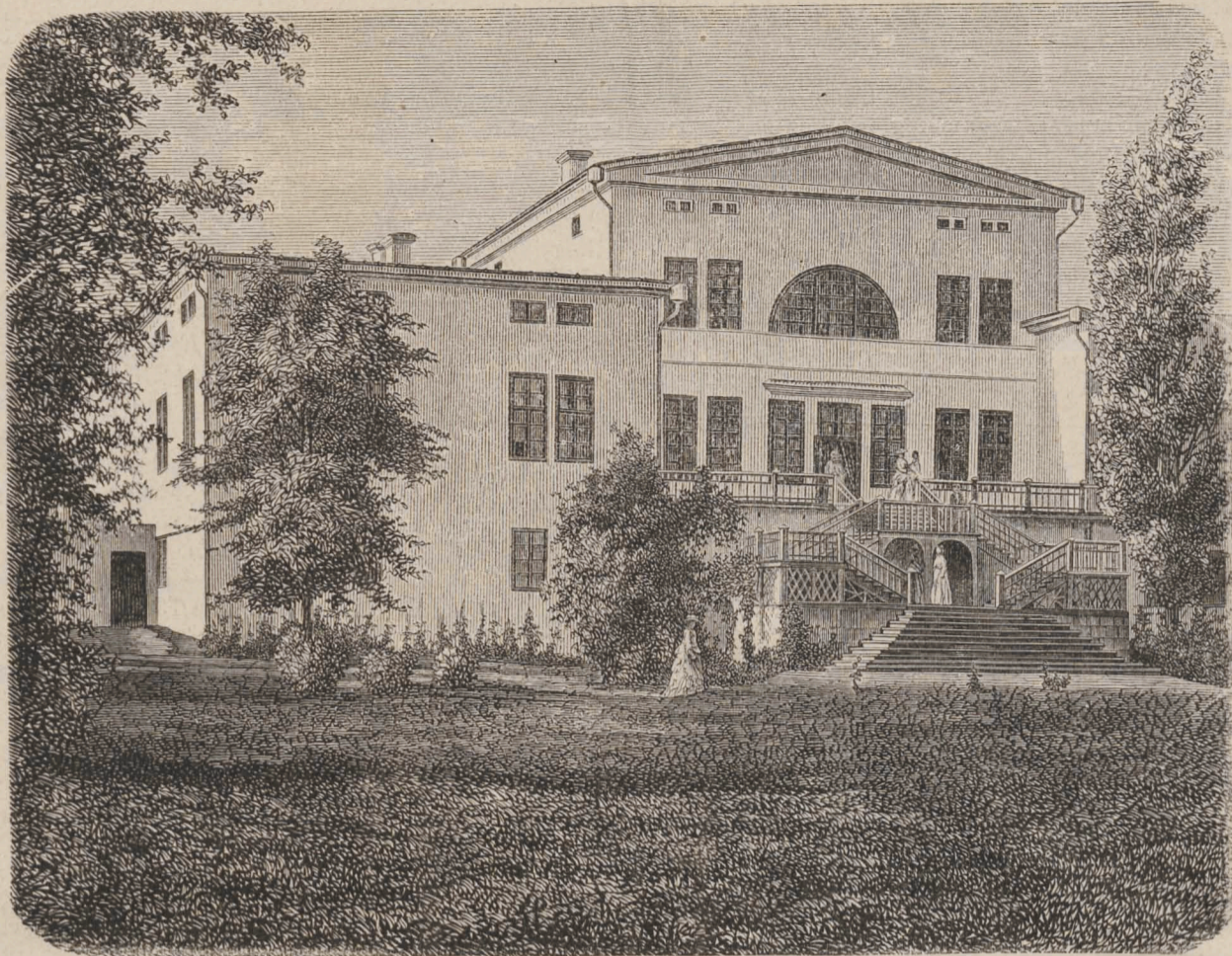
14. Erndtel w swoim opisie Warszawy, drukowanym po łacinie w r. 1730 w Dreźnie, umieścił widok Warszawy, dokładnie i starannie zrobiony.

15. Miedzioryt zwykle kolorowany, z tytułem: *Varsovie C. Berdelung sc. chez Moser à Dresde*.

16. Miedzioryt z napisem: *Warschau*, na dole widok Pragi i mostu na Wiśle. Pod ramką objaśnienia.

17. Najdokładniejsze z tych czasów widoki Warszawy wykonał sławny malarz na dworze Stanisława Augusta Belloti, zwany Canaletto, który malował wielokrotnie rozmaite części i całe miasto, a z tych niektóre sam także rytował. Takimi są z tytułami polskimi i francuzkimi: *Prospekt placu przed ks. ks. bernardynami, biorąc wejście z nad bramy Krakowskiej*. W pośrodku herb króla. Poniżej napis: *Obraz z którego sztychowano, jest u króla Jmci. Ten prospekt jest malowany i sztychowany przez p. Bernarda Belloto de Canaletto, malarza j. królewskiej mości, a. 1771*. U spodu wymienienie 10 znacniejszych kościołów i pałaców. Drugi ma napis: *Widok Warszawy, zacząwszy od pałacu Sapieżyńskiego, aż na koniec Solca i dalej, aż do zamku Willanowskiego, z częścią miasta Pragi po drugiej stronie Wisły*. Malowany w roku 1770 przez Bernarda Belloto de Canaletto i przez niego sztychowany, w r. 1772. Obok ten sam tytuł po francuzku, w posrodku zaś herb Ciołek. Obie powyższe ryciny zmniejszone podał w drzeworytach Tygodnik Ilustrowany w r. 1870. Trzeci z napisem: *Prospekt Warszawy od pałacu Ordynackiego aż do zamku, z częścią Pragi za Wisłą*. Malowany w r. 1772 przez Bernarda Belloto de Canaletto i przez niego sztychowany w r. 1774. Obok tenże tytuł po francuzku i herb Ciołek. Poniżej wymienienie czterech gmachów znacniejszych.

18. Miedzioryt wykonany w Wiedniu przez Mansweldta p. t. *Vue de Varsovie, prise depuis le chateau de Wilanów jusqu'aux casernes de la couronne*. U góry geniusz trzyma popiersie Stanisława Augusta. Napis: *à Varsovie 1776, chez J. A. Poser libraire*.



Pałac w Schlossbergu.

212



Kościół w Huksthanach.

213

Przejażdżka po Kurlandyi,

odbyta w r. 1873.

Skręślił Ścisław S.

I.

(Dalszy ciąg).

Obeorny pałac Schlossberg leży również na górze, lecz o wiele niższej od zamkowej. Z osobliwości mieści w sobie sporą bibliotekę, będącą niestety szczątkami tylko zgorzałego przed kilku laty wielkiego i szacownego Zybergów księgozbioru, a w kaplicy obraz Matki Boskiej, bardzo dobrego pendzla, z XVII w. Otoczony jest pięknym ogrodem spacerowym, a z granitowych, wyniosłych wschodów od strony parku rozległy otwiera się widok na pozadziwną okolicę, na pierwszym zaś planie stoi ów kościół w Ilukszcie, zbudowany z sέρα i masła. Że mu się codziennie przyglądałem i przygląłem do tej skromnej i pięknej budowy, wspomnę więc nieco o jego przeszłości.

O pierwocinach miasteczka Ilukszty mówi podanie, że kiedy Litwini, żyjąc w ciągłej wojnie z panami Kurlandyi, zniszczyli po dwakroć miasteczko Pobierz, właściciel jego nie pozwolił mieszkańcom odbudować ciągle pustoszonego siedzib. Biedacy ci wówczas udali się gromadnie pod opiekę schlossberskiego Zyberga, który im na osiedlenie miejsce nad Iluksztanką wyznaczył. Tak powstało owo miasteczko, liczące dziś zgórami paręset domów, mające pięć świątyń, powiat, sąd okręgowy, dwie szkoły, ochronkę, nawet więzienie, stacją pocztową, aptekę, młyn, garbarnię i licznych garncarzy.

Pierwotny kościół iluksztański zgorzał w 1748 r. Odbudowaniem jego zajęli się gorliwie ówczesni dziedzice Schlossberga i Ilukszty, małżonkowie Józefat i Magdalena Zybergowie. Mąż sposobił materyały, żona zaś, zacna pani i zabiegliwa gospodyni, zbierała skrzętnie dochód z nabiabłu, przeznaczając go na wynagrodzenie robotników. Ztądto powstała opowieść, że kościół zbudowano z z sέρα i masła, która, będąc teraz wyrazem rzeczywistego faktu, za kilka wieków w ustach ludu zamieni się może w mityczne podanie w którym cegły będą z sέρα, a wapno zmieni się w masło. Budowa sama trwała lat 6 i w nowo skończonym kościele pierwszy raz odbyło się nabożeństwo r. 1760, w niedzielę po 5-ym Mateusza. Pod całym kościołem są sklepienie głębokie podziemia, które za groby służyć miały.

Obok kościoła, po za wielkim ołtarzem, wznosi się piętrowy, obszerny klasztor, zajmowany niegdyś przez jezuitów, od r. 1690 do 1782; odtąd do roku 1842 byli przy kościele lazaryści, utrzymujący tutaj licznie uczęszczane szkoły, przeniesione w r. 1835 do Dynaburga. Od roku 1842 kościół tutejszy obsadzony jest przez księży świeckich i ma 8000 z górą parafian.

Pierwotnymi tej okolicy mieszkańcami są, jak wiemy, Łotysze, pokrewni Litwinom. Zalegają całą prawie Kurlandją i część większą Inflant. Czy należą do wielkiego Słowian, czy Germanów szczepu, dotąd się spory toczą, to pewna jednak, że stanowczo różnią się od Estończyków (Czuchońcami przez Rossyan zwanych), należących do fińskiej rodziny narodów. Prócz Łotyszów, w okolicach Desmones i na jego południu, żyje nieco Finnów, a nadto w Górnej Kurlandyi, za Iluksztą, już w stronie Dynaburga, spotykamy przeważnie Białorusinów, Rossyan starowierców, a po miasteczkach, a nawet zaściankach, Polaków.

Łotysze stanowią zawsze jądro ludności i choć powoli, ale rugują ciągle inne narodowości, nad którymi mają przewagę nadzwyczajnym wytrwaniem w pracy, wstrzeźliwością i wygórowaną oszczędnością. Są oni nadto trzeźwi, chętnie się uczą, a czytać i pisać każdy z nich prawie umie. Doszedłszy do większej zamożności, posyłają zaraz dzieci do średnich zakładów naukowych, które, po skończeniu tam nauk, zwykle wracają na zagon rodzinny. Lud to dosyć gościnnie, grzecz-

ny, ale podejrzliwy i skryty. Powaga pewna zda się Łotyszom wrodzoną; usposobienia są smętne, a nawet ponurymi nazwałoby ich można; mimo to lubią muzykę i śpiew, choć ten ostatni jednakową ma melodyą towarzysząc pogrzebowi, jak i obrzędowi weselnemu.

W Inflantach zamiłowanie do muzyki i śpiewu bardzo się rozszerza między Łotyszami, wskutek zawiązanych przed kilkudziesięciu laty towarzystw śpiewaków po wioskach, które obecnie szybko się rozszerzyły i liczą już tysiące członków. Jak już powiedziałem, pracowitość i oszczędność są najwyższymi ich przymiotami. Szczególniej jedzenie gra u nich podrzędną nadzwyczaj rolę; żywią się, zwłaszcza w górnej Kurlandyi, lichą bardzo strawą. W pracy kobiety nie ustępują zupełnie mężczyznom, bo podczas gdy ci ostatni zajęci są pracą rolną, kobiety prowadzą powszechnie tu rozgałęzione gospodarstwo mleczne, przędą, tkają i farbują len i wełnę, dostarczając letniej i ciepłej odzieży wszystkim zwykle domownikom.

Strój ludu tutejszego jest bardzo prosty i skromny; u mężczyzn składa się z wełnianej szaraczkowej kapoty, latem cieńszej i krótszej, zimą grubiej, dłuższej, przepasanej pasem, z takichże spodni, ze wzorzystej kamizelki i chustki na szyję. Głowę latem czarna sukienka z daszkiem, zimną barania okrągłą pokrywa czapka; na nogach noszą zawsze wełniane, wysokie skarpetki, których liczbę powiększają w miarę wzrastania mrozu; na nich sandały skórzane, od których idące sznury lub rzemienie okręcają łydkę.

W dolnej Kurlandyi i w Inflantach więcej używają butów i dość licznie granatowych lub brunatnych krótkich surdutów. Kobiety latem noszą gorsety albo kaftaniki różnokolorowe z perkalu lub wełny, na nogach w dzień powszednie sandały, w święto trzewiki. Włosy przeczesaują gładko. Za wykroczenie przeciwko przyzwoitości poczytują pokazywanie się z odkrytą głową, ztąd, choć najpiękniejsze, włosy przykryte są trójkątną chusteczką, wdzięcznie związaną pod brodą. Strój to dość ładny latem, ale w zimie noszą na głowie grube wełniane chustki, wdziękają jak mężczyźni wełniane kapoty, pasem ściśnięte, i tak przybrane, wcale nieestetycznie wyglądają.

Co do budowy fizycznej, Łotysze kurlandzcy wogóle są szczupli i wzrostu średniego; w Inflantach zato barczystością się odznaczają.

Mieszkania wieśniaków w Kurlandyi nie są skupione w grupy, nie składają, jak u nas, wsi obszernych, ale przeciwnie, rozrzucone są pojedynczymi osadami po całym kraju i zwane powszechnie zaściankami. Z tego powodu nieobeznanemu z tym widokiem, Kurlandya zdaje się bardzo zaludnioną, wszędzie bowiem, gdzie wzrokiem rzucisz, znajdujesz schronienia ludzkie.

Włościanie tutejsi, podobnie jak w całej Rossyi, biorą także udział w zarządzie i sądownictwie kraju. Urzędy gminne, pod przewodnictwem wójtów (starszyn), czuwają nad wykonywaniem rozporządzeń władz wyższych, nad dobrą utrzymaniem dróg i zarządzają magazynami zbożowymi gminnymi. Sądy gminne, pod przewodnictwem prezesów, są pierwszą instancją sądowniczą w kraju, apelacja od nich idzie w sprawach cywilnych do Kreis-Gerichtu, w policyjnych do Hauptmanns-Gerichtu; nie są więc wyroki sądów gminnych poczytywane za nieomyłne, ale też nie pozostawiono ich kasowania samowoli władz administracyjnych.

Z miastami Kurlandyi poznamy się bliżej przy wędrowce po nich; tu zrobię tę ogólną uwagę, że ludność miejska jest przeważnie niemiecka. Łotysze zdają się miast unikać i tylko wyrobniczy i służący rekrutują się z biedniejszych wsi mieszkańców. W małych jednak miasteczkach górnej Kurlandyi, poczynając już od Jakobsztatu, przewagę stanowią mieszczanie Polacy, z małym procentem Rossyan starowierców i Niemców.

Przeszłość miast tutejszych nie jest ani sławną, ani głośną. Mieszczanstwo Kurlandyi pamięta dobrze, że przybyło tu za pozwoleniem rycerzy, osiedliło się na ich ziemiach i pozostało od nich ciągle zależnym; kształci się, zajmuje się cichą pracą, przynoszącą mu wielkie korzyści materyjal-

ne, i spokojnie dochodzi do coraz szerszych praw w kraju, w którym niegdyś szlachta panowała i dotąd największe ma znaczenie. Przeciwnie w Inflantach, mieszczaństwo, mianowicie rygskie, zdawna uważało się za równe zakonowi, z którym pod wodzą swych biskupów nieraz szło o lepsze.

W Kurlandyi większa część powierzchni ziemi wchodzi w skład dużych ziemskich posiadłości, należących do indygenów kurlandzkich. Szlachta tutejsza ród swój wieździe od dawnych tej ziemi zdobywców, jest niemiecką rodem, duchem i przymiotami. Między nią wskazują zaledwie parę familij, pochodzących od książąt łotewskich, którym jednak obecnie, prócz nazwiska i podania o owym rodzie, nie w spuściznie łotewskiego nie pozostało. W górnej Kurlandyi jest kilku większych i mniejszych właścicieli dóbr Polaków.

Charakterystyczną cechą tego stanu rycerskiego jest przedewszystkiem to, że znalazłszy się posiadaczem ziemi wśród obcego sobie plemienia, pod obcym rządem, zrozumiał, że dwa żywioły, jeden z dołu, drugi z góry, wypierać go ztąd będą; to też oprzecz się postanowił tym nieprzyjaznym sobie prądom całą swą potęgą. Przedewszystkiem wspólność interesu spowodowała związanie się szlachty kurlandzkiej w pewien rodzaj wielkiej rodziny, w której rzeczywiście, wskutek ciągłych związków małżeńskich, wytworzyły się węzły pokrewieństwa. Dlatego niechętnie przyjmują obcych intruzów i dotąd przybyszom z trudnością przychodzi zapisanie się w metryki szlachty tutejszej. Szlachta zrozumiała, że dobrobyt jej i pomyślność z rozwojem czasu staną się zawiślemi od oparcia się na ludzie, dlatego zdawna starała się poznać jego ducha i potrzeby, uczy się ludowego narzecza wprzód, niż swój germański mowy, stara się o rozwój umysłowy ludności łotewskiej i dokłada wszelkich usiłowań, by podźwignąć byt jej materyalny. Zapewne trzymając się zasady, że przykład dobry najwięcej naucza, panowie tutejsi i sami kształcą się starannie, bo obszernego też zakresu wiadomości wymaga od nich kierownictwo kraju, w którego zarządzie przez landtagi znaczny biorą udział. Ziemia, wedle godnej naśladowania ich zasady, winna bezprzestannie w posiadaniu tejże samiej pozostawać rodziny; sprzedają przeto bardzo niechętnie dobra, zwłaszcza obcym przybyszom. Rycerskie pojęcia tkwią we krwi potomków zbrojnego zakonu; to też każdy młody Kurlandczyk, skończywszy nauki, służy wojskowo, żeby zaś majątki zbytecznie się nie rozdrabniały, jeden z członków rodziny zwykle wchodzi w posiadanie dóbr rodowych, inni zaś szukają kariery w armii, w urzędzie, w kraju, lub za jego granicami. Mądra ta polityka zapewnia młodemu pokoleniu silny grunt pod nogami i wytknięty cel życia, do którego wszyscy dążą; — ztąd ład i wspólne wspieranie się, korzystnie bardzo na rozwój ogólny wpływające. Szkoda tylko że własny interes tak wyłączną gra rolę w życiu tego quasi narodu, iż w stosunkach jego na zewnątrz tamuje szerszy pogląd na rzeczy i często staje się przyczyną fałszywego, wysoce nierozsądnego i niesprawiedliwego ocenienia czynów nie Kurlandczyków.

Dotychczas w Kurlandyi szlachta tylko miała prawo reprezentowania woli ogółu na landtagach gubernii; w roku dopiero zeszłym przypuszczono do tego zaszczytu i nieindygenów, posiadających dobra ziemskie. Landtagi w zarządzie kraju ważny biorą udział; mają prawo inicjatywy w kwestjach gubernii obchodzących, a wypracowane przez nie projekta, po zatwierdzeniu cesarskiem, zyskują moc prawa. Dalej stanowią o miejscowych kraju potrzebach, dla zaspokojenia których wolno im się opodatkowywać; w rezultacie wybierają i zatwierdzają wszystkich urzędników wyższych w gubernii, zarówno w sądzie, jak w administracji. Kurlandya wraz z Inflantami i Estonią zostaje pod zwierzchnictwem generał-gubernatora gubernij nadbałtyckich, urzędującego w Rydze (1), którego władza jest więcej nominalną,

(1) Posada generał-gubernatora w prowincjach nadbałtyckich zniesioną została z końcem roku zeszłego.

niz faktyczną, ogranicza się bowiem na nadzór biegu spraw w powyższych guberniach i na pośredniczeniu między nimi a tronem.

Ale dość już tych spostrzeżeń nad przymiotami Kurlandczyków i ustrojem tamecznego bytu i życia. Zapomniałem, zajęty niemi, że większą część Kurlandyi mam jeszcze przed sobą. Szczęściem pragnienie zobaczenia żywiołu mało mi dotąd znanego, nie da mi zadługo spoczywać. Spieszę ku morzu!...

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Kronika paryżka.

W sierpniu.

Niesłychane upały we Francyi, a szczególnie w Paryżu. — Wycieczki w góry i nad morze. — Trudne położenie korespondenta. — Śmierć senatora Ludwika Wołowskiego. — Jego żywot i zawód publiczny we Francyi. — Jego prace naukowe. — Założenie przezeń we Francyi Banku pożyczki ziemskiej. — Ostatnia choroba i śmierć. — Doktor Grzymała z Podola. — Ważne jego odkrycie sposobu leczenia wścieklizny. — Niezmierny rozgłos tego odkrycia we Francyi. — Nowe książki. — Tłumaczenie powieści Sacher-Masocha na francuskie. — Ogłoszenie jednej z nich w Revue des deux mondes. — Sposób w jaki to ogłoszenie się stało. — Słowo o Turgeniewie. — Nowe wydanie „Historji mego życia,” pani Sand.

Latu tegoroczne zaliczone zostanie do najgorętszych. Upały, jakich doświadczamy od dwóch miesięcy w Paryżu, są rzeczą wyjątkową, tém bardziej, że zwykle burze i deszcze nie odświeżyły bynajmniej swoim zjawieniem się panującą bez przerwy sieki. Nie pamiętam równie opustoszałego Paryża, jak w tym roku. Można powiedzieć że stolica jest próżna, bo wszystko co żyje i rusza się w umysłowym jego świetle, uciekło nad morze, lub w góry. To też w najmniejszej nawet i głuchej dotąd okolicy nad morzem, natłok kąpiących się jest niezmierny; każdy jak może usiłuje jeśli nie uciec przed słońcem, to przynajmniej zachwycić choć trochę ochłody i świeżego powiewu wiatru. Kronikę też dzisiejszą sprawiedliwie można nazwać parową, bo kronikarz siedzi jak w kotle kipiącej wody, pomimo zamknięte okiennice i okna. Myślałem na chwilę i ja porzucić Paryż i jego topniejące trotuary, by biedz nad morze, za uciekającą zgrają; ale jest wilkie ale, co mię trzyma za poły i przykuwa do taczki tego piekielnego życia, które, chcąc nie chcąc, trzeba dożywać na bruku paryżkim.

Jest-to niby dowiedziona rzeczą, że dosyć w Paryżu otworzyć okno, wysunąć nos na ulicę, aby złapać jakąś nowinę. Tak bywa często zapewne, ale nie w tej chwili. Teatry zamknięte, w księgarniach pusto, bo i księgarze gdzieś na wsi, lub nad morzem. I dzienniki nawet żyją tém, co się da uzbierać na rozstajnych drogach. Walka na Wschodzie, choć zapewne opróżnione kolumny dzienników, nie obchodzi tu naprawdę nikogo. Zobojętnienie opinii publicznej w tym względzie jest tak wielkie, że najciekawsze opowiadania reporterów pozostają bez skutku. Biędni Serbowie! Nie wczas się wzięli do broni... Ta wielka rasa słowiańska nie umie nic począć w porę, w czas właściwy. Zużyty świat stary nie chce nawet już patrzeć na tych, co wołają doń w rozpacz „*Moriturus te salutant.*” Jedno co go budzi z uśpienia, to brzęk złota; bitwa na worki—oto jego zapasy. Przesilenie finansowe, strata milionów, zyski niesłychane—oto rzecz! Ale drgania śmiertelne dalekiego narodu, upadek, śmierć milionów, czyż to warte najmniejszej uwagi... To rzecz dyplomacji, gabinetów, te wsie i miasta płonące na Wschodzie. Niema więc i w tém pokarmu dla waszego kronikarza. Zrzeszta, jako bliżsi sąsiedzi, wiecie to lepiej od nas.

Rozwiązane izby zniknęły również ze sceny, lubo i tak nie dostarczyłyby mi one wiele zasobu, politykowanie bowiem nie moja to rzecz. Lecz oto, w chwili właśnie swojego odroczenia, senat francuski stracił jednego z najznakomitszych swych członków. Stratę tak ważną zapisujemy tu z tém większą boleścią, że i nas ona dotyka głęboko.

Ludwik Wołowski, albo (jak Francuzi zwykle to wypisują) Ludwik-Franciszek-Michał-Raymund—skończył życie w Gisors w północnej Francyi, w poniedziałek 14 sierpnia, po długiej i ciężkiej chorobie.

Śmierć ta i ta osobistość obchodzą was bardzo blisko. Wszak to jedno z dzieci Warszawy... Wołowski, obdarzony umysłem żywym i przenikliwym, wielką pamięcią i większą nad wszystkie te przymioty łatwością wysłowienia, przygotowany doskonale, oswojony gruntownie z nauką prawa—jeden z najświetniejszych uczniów byłego uniwersytetu warszawskiego, znalazł natychmiast otwarte dla siebie pole w zawodzie prawniczym i wkrótce znakomicie obroniona teza dała mu stopień doktora prawa. Dopuszczenie do krutek sądowych wkrótce też potem nastąpiło. W 1834 roku, otrzymawszy wielką naturalizacją we Francyi, zapisany został na listę adwokatów trybunału paryżkiego i zaraz świetnie wystąpił w obronie sprawy, której wygranie zwróciło nań uwagę powszechną. Ożeniony z siostrą Leona Foucher (znakomitego prawnika, a później ministra spraw wewnętrznych w czasie prezydencji Ludwika Napoleona), Wołowski szybko się posuwał naprzód, a w 1848 roku znajdujemy go już posłem do zgromadzenia konstytucyjnego, w którym był jednym z reprezentantów miasta Paryża.

Ludwik Wołowski odznaczył się tam wkrótce, jako jeden z najczynniejszych członków. Zarazem prawnik i biegły ekonomista, dotknął szczęśliwie jedną z najważniejszych trudności, bo kwestyj budżetowych. Łatwe wysłowienie, o którym wspomnieliśmy już wyżej, zapewniło mu powodzenie na mównicy, gdzie głębokie jego wiadomości najtrudniejsze nawet przedmioty czyniły mu łatwo dostępnymi. Stanowisko takie w zgromadzeniu narodowym zbliżyło go z ludźmi, używającymi największego wpływu na sprawy krajowe i otwarło mu drogę do wszelkich godności. Przeciwnie Ludwik Wołowski okazał się w tym względzie skromniejszym, niżeli się można było spodziewać po tak świetnie rozpoczętym zawodzie i tak łatwo otrzymanem zwycięztwie. Nauka, szczególnie nauka ekonomii politycznej, pociągała go ku sobie. Pozostał jej też wiernym do końca życia.

Wkrótce potem zajął ważną katedrę prawa administracyjnego w szkole wyższej paryżkiej *Szkoły irzemiosł*, gdzie jego głęboka nauka zostawiła niezatarte ślady swojego zbawionego wpływu na umysły kształcącej się młodzieży. Ten nowy zawód oddalił go od krutek trybunalskich, ale otworzył mu wejście do Instytutu francuskiego, którego został członkiem, w wydziale akademii nauk moralnych i politycznych.

Znakomity ekonomista ogłosił wiele prac swych na polu ekonomiki osobno, oraz w przeglądach i pismach peryodycznych. Tytuły ich wymieniłiscie już poprzednio w obszernym jego życiorysie.

Blizkie a przyjacielskie stosunki Ludwika z p. Ksawerym Branickim dozwoliły mu urzeczywistnić jedną z najdroższych mu myśli—założenie we Francyi Banku pożyczkowego ziemskiego (*Crédit foncier*). Za pomocą wielkich kapitałów, które posiadał Branicki, Wołowski, czynny i używający już przeważnego wpływu, skojarzył łatwo i ufundował znakomity ten zakład, który przetrwał najsmutniejsze, najcięższe chwile w jakich znalazła się Francya w ostatnich latach, i stał się jedną z największych i najsilniejszych instytucyj bankowych.

Deputowany przez lat 25 do wszystkich bez wyjątku izb we Francyi, Wołowski wybrany został nakoniec do nowo postanowionego senatu. Ale zdrowie jego, od lat kilku już zachwiane, nie dozwoliło mu prawie zasiąść senatorskiego krzesła. Pogorszający się coraz stan zdrowia, z początkiem lata zmusił jego rodzinę do przewiezienia go na wieś do Gisors, pięknej posiadłości zięcia jego p. de Passy, pomocnika ministra finansów, gdzie też dokończył pracowitego żywota. Podagra latająca, dezorganizacja wnętrzości, były to cierpienia, z którymi walczył do ostatniej chwili spokojny i cierpliwy Wołowski. Przeszły już wiosny stracił on wnuka, syn-

ka p. de Passy, do którego był przywiązany niezmiernie. Bolesna ta strata była jedną z przyczyn, które pogorszyły stan Wołowskiego, a nawet zagroziły życiu jego w owym już czasie. Wyszedł z choroby przy pomocy biegłych i czułych starań, powstał jeszcze na chwilę z łoża boleści—ale snadź było to chwilowe tylko polepszenie. Widziałem go raz ostatni tej wiosny, na ślubie Leona Mniszcha (syna p. Andrzeja). Zmieniony, wychudły, zgarbiony, był-to cień tylko dawnego Ludwika. Wołowski średniego był wzrostu i dobrzej tuszy, co nadawało mu minę poczciwego i wesołego smakosza. I był nim rzeczywiście s. p. Ludwik, który lubił dobrą, a nawet wyszukaną kuchnię i którego piwnica słynie w Paryżu jako jedna z najlepiej zaopatrzonych.

Ludwik Wołowski zostawił po sobie dość znaczną, poczciwie nabytą fortunę, piękne imię i wielki przykład do naśladowania. Imię to, wśród obcych, nosił on poczciwie i zanie, a umiერając, przekazał je czyste i bez plamy naszej i waszej pamięci.

Mówiąc o zmarłych, nie zapominajmy i o żyjących. W lipcu paryżki dziennik „*Journal de thérapeutique*” ogłosił list pisany z Podola przez doktora Grzymałę—do profesora Gublera i opatrzone komentarzem tego znakomitego lekarza, który jest członkiem akademii medycznej paryżkiej i lekarzem przy jednym z największych szpitalów stolicy. List ten narobił tu niemało hałasu, bo p. Grzymała dotknął jednej z najważniejszych kwestyj lekarskich i podał środek leczenia dotąd nieuleczalnej choroby, a objaśnienia doktora Gublera zdają się potwierdzać wszystkie obietnice polskiego lekarza.

Środek wskazany przez rodaka naszego, p. Grzymałę, jest-to użycie wewnętrzne dekoktu rośliny zwaną *Xantium Spinosum* przeciw wściekliznie. Wiadomą jest rzeczą że pomiędzy chłopstwem na Ukrainie dochowała się tradycja leczenia wścieklizny zapomocą ziół, których jednak znajomość pozostawała wyłącznym przywilejem tych, co tajemnicę przechowywali od najdawniejszych czasów w swojej rodzinie. Żadne obietnice nie zdołały skłonić posiadaczy sekretu do powierzenia go ciekawym badaczom, a jeśli zdarzyło się czasem, że *znachor*, zmuszony okolicznościami, albo przynęcony wielkim datkiem, zgodził się nakoniec odkryć tajemnicę, odkrycie to było zmyśleniem, a wskazana roślina, lub inny jaki specyfik, nie miał nic wspólnego z prawdziwym środkiem lekarskim i naturalnie nie wywierał oczekiwanego skutku. Skarżącym się i oszukany odpowiadał zwykle oszust, że to się stało zapewne wskutek czaru, który raz odkrytej tajemnicy odbierał jej własność leczącą.

Nie wiem jakim sposobem p. Grzymała potrafił odkryć prawdziwy specyfik, ale to rzecz pewna że wskazany przezeń środek leczenia wścieklizny jest środkiem prawdziwie lekarskim i że użycie jego sprawdzone zostało przez ludzi poważnych, uczonych, przez najgodniejszych wiary lekarzy francuskich.

Radbym wiedział, a ze mną zapewne wszyscy, jakie nazwisko *Xantium Spinosum* nosi u naszego ludu. W tych starych, ludowych nazwiskach kryją się często stare wyrazy, których historia jest zawsze ciekawą, nawet i dla badaczy lingwistyki. Jakkolwiek bądź, przez wzgląd na liczne wypadki wścieklizny, które się corocznie powtarzają na tyłu indywiduach i we wszystkich krajach, obowiązkiem jest moim ogłosić jaknajspieszniej to cudowne odkrycie p. Grzymały *urbi et orbi*. *Xantium Spinosum* rośnie podobno we wszystkich krajach Europy, a sposób użycia jego nie jest zapewne żadną tajemnicą dla prawdziwych lekarzy. Upraszamy wszakże p. Grzymałę, aby z równą gotowością, z jaką udzielił swojego odkrycia zagranicznemu lekarzom, raczył się niem podzielić i z najważniejszymi organami piśmiennictwa krajowego. Pewien jestem że Tygodnik chętnie otworzy swoje kolumny wszelkim zgłoszeniom się w tym względzie p. Grzymały (*), gdy

(*) Redakcja Tygodnika uczyni to z przyjemnością.

ten raczy nam powiedzieć: 1-o nazwisko polskie i nazwisko ludowe *Xantium*; 2-o w jaki sposób używać należy tego lekarstwa; 3-o jakie są przepisy diety, lub higieny w ogólności, które należy zachować przy użyciu tego leczącego środka. Tymczasem wyrażmy mu naszą wdzięczność i za to, co dotąd uczynił.

W jednej z ostatnich swoich korespondencyj z za granicy, Kraszewski, wspominając o niedawno zmarłej we Francji pani Sand i o jej współpracownictwie w *Revue des deux mondes*, zrobił słuszną bardzo uwagę, że tak znakomitego pisarza, jakim była nieboszczka, nie zastąpi bynajmniej podejrzanej wartości cienkusz *Sacher-Masocha*. Jest-to wielka prawda; ale nie od rzeczy tu będzie wytłumaczyć przyczyny i sposób, które wprowadziły na karty sławnego tego Przeglądu *Sacher-Masocha* i jego podpiwek. Póki żył pierwszy założyciel *Revue*, stary Buloz (ojciec), póty żaden wyrób tego gatunku nie mógłby się precyzować do redakcyi jego, wymyślny, surowy, kapryśny, lecz, koniec końców, sprawiedliwy i światły. Stary Sabaudezyk, co przyszedł w sabotach do Paryża, jakkolwiek był szorstki, źle wychowany i źle wyuczony nawet, miał niesłychany zmysł literacki, czego dał dowód, postawiwszy pismo swoje na równi, a może i wyżej nawet, nad najslawniejsze przeglądy świata całego. Ale od jego śmierci syn, objawiając rząd samowładny, chociaż nauczony doświadczeniem i radami ojca, chociaż uczęszający i bardziej literat, nie umiał przecież podolać, ważniejszej niżli się zdawało na pozór, sprawie wydawnictwa Przeglądu. Trochę może z jego własnej winy, trochę z przyczyny że stopień podniosłości piśmiennictwa we Francji w ogólności zniżył się cokolwiek od lat 15-u i że trudno dziś zastąpić i mieć na swe zawołanie, szczególnie w beletrystyce, takich pisarzy, jakimi byli dawniejsi współpracownicy Przeglądu — stało się; że p. Buloz, dzięki skąpstwu, które jedno tylko odziedziczył w całej pełni po ojcu, i z przyczyny rzadkości wyborowych współpracowników, wymyślił nową, nieznaną dotąd Przeglądowi kombinację — drukowania tłumaczeń najznakomitszych pisarzy cudzoziemskich. Ale i w tej kombinacji, idąc za radą sknerstwa, uciekł się najprzód do środka nabycia towaru, nie bez piędzi, ale za lichę piędzi.

Pisząca rzesza świata całego wie dobrze, czyjś w ogólności są dziełem tłumaczenia utworów cudzoziemskich w jakim bądź języku. Niema w tym żadnej różnicy i we Francji: człowiek z nauką lub talentem do przekładania romansów i powieści się nie weźmie. Otóż kombinacja Buloz'a zaczęła się od Turgeniewa. Znakomity ten, bez zaprzeczenia, pisarz, żądny, jak każdy z piszących, rozpowszechnienia swoich powieści, za pomocą stosunków i wpływów, zaofiarował Bulozowi bezpłatnie pierwsze tłumaczenia, wykonane pod jego okiem, przez znajomych i przyjaciół, poprawione i wymyte, lub, jak mówią Francuzi, *wybielone*, niektórych ze swych powieści.

Raz otwarta w ten sposób szluga i raz dany przykład, sprowadził do *Revue* cały zastęp tłumaczy cudzoziemczyzny, a jest ich tu bez liku. Ci już nie bezpłatnie, ale za lichę piędzi, gotowi byli sprzedać swój towar. Buloz jednak wolał drukować darmo cenniejsze utwory, niż płacić za lichę i mało warte ramoty. Ale wśród tłumaczyców zgrai znaleźli się ludzie, co mieli protekcję, znajomości i przystęp do Buloz'a. Tak się stało i z *Sacher-Masochem*. Dawniejsze stosunki *Revue* z austriacką ambasadą dopomogły przeważnie tłumaczowi, p. Bentzonowi, „i oto dla czego córka moja jest niemą“ — jak mówił Molière.

Teraz tetłumaczenia wyszły u Kalmana Levy'ego, pod tytułem „*Spuszczona Kaima*“, albo „*Nowe opowiadania galicyjskie*“. W przedmowie tłumacz wynosi naturalnie podniebiosa swego *Sacher-Masocha*. Dla niego ten ostatni „przenosi o wiele Turgeniewa. Śpiewak małosuski znalazł drogę, której nie domyślał się nawet wielko-ruski bajarz. Nigdy Turgeniew ani marzył o typach tak głęboko oryginalnych, tak prawdziwych, jak *Sacher-Masoch!*“ Czytając te brednie, które wygłasza Francuz, co tak zna Ukrainę i lud rusiński, jak

się zna pies na pieprzu — człowiek podnosi ramiona i myśli w duchu: Opuść im Panie, bo nie wiedzą co czynią.

Nie mam tu potrzeby rozbiierać tych ramot szczegółowo; byłoby to zbyt ciężkim dla czytelników polskich, którzy oddawna już znają prawdziwą wartość utworów *Sacher-Masocha*. Tomik, ogłoszony przez p. Levy, zawiera w sobie tłumaczenia następnych powieści: *Sprawiedliwość chłopka*; *Hajdamaka*; *Hasara-Raba* i *Wesele Waleryana Kochańskiego*. Jak wszystkie te przedmioty pod piórem niemieckim zostały przeistoczone, o tem już wiedzą zapewne czytelnicy moi; ale co się z niemi stało w tłumaczeniu na mowę obcą, i to w tłumaczeniu wykonanem przez człowieka, co niedostatecznie włada językiem francuzkim — bo podejrzuję że Bentzon nie jest rodowitym Francuzem — o tem łatwo się przekonać, przeczuciwszy choć kilka kartek którejkolwiek z tłumaczonych powieści. Jedną ztąd tylko wyciągniemy konkluzję, że musi we Francji brakować na rodzimych pisarzach, kiedy potrzeba tłumaczyć takich nędzot jak powieści *Sacher-Masocha* daje się czuć w wydawnictwie.

Taż sama księgarnia Levy rozpoczęła nowe wydanie *Historji mego życia* pani Sand. Dotąd wyszedł tom 1-y w formacie *Biblioteki współczesnej*, wydawanej przez firmę braci Levy'ch. W tym 1-m tomie niema nic nowego, ale obiecuje wydawca w następnych dodatki, których przyrzekł mu udzielić syn nieboszczki, Maurycy Sand. Wątpię jednak aby się to sprawdziło, bo, jak dotąd, syn okazał się bardzo drażliwym we względzie wszelkiej publikacyi listów, lub innych pism matki, dotyczących się szczególnie jej prywatnego życia; nie sądzę więc, aby się zgodził dodać coś nowego, coś interesującego do tego, co matka jego dla ogółu uważała za dostateczne.

KORESPONDENCA TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO.

Kraków, w połowie sierpnia.

Miesiąc temu właśnie, jak przybyła do Krakowa smutna wiadomość o śmierci Fredry. Znakomity pisarz doszedł już był do wieku zgrzybiałego, a jednak przez serdeczną sympatją, którą i jako człowiek cieszył się ten starzec, opromieniony sławą, bylibyśmy sobie życzyli, aby żył jeszcze jaknajdłużej. Kraków ze swjej strony także przyczynił się do uczczenia pośmiertnej pamięci Fredry. Na pogrzeb jego wyjechała ztąd do Lwowa deputacya Rady miejskiej, tudzież jako delegat Akademii umiejętności, którą również i prof. Malecki we Lwowie reprezentował, hr. Stanisław Tarnowski. W dzień pogrzebu odbyło się u nas nabożeństwo, za staraniem dyrekcji teatru, w kościele kapucynów, na które uwielbienie dla zgasłego poety zgromadziło ludzi rozmaitych stanów i powołań: obywateli, literatów, artystów dramatycznych, dawnych wojskowych i t. p. Dyrekcya teatrów powzięła także bardzo chwalebna myśl, ażeby każdego roku rocznicę śmierci Fredry święcić przez przedstawienie jednej ze sztuk jego.

Do dawnych utworów zmarłego mają teraz przybyć jeszcze nowe, pozostawione w rękopiśmie. Jeszcze za życia Fredry wspomniano o nich często, a teraz wszędzie o nich piszą i wymieniają ich tytuły, odzywając się niekiedy z tem zdaniem, że komedye późniejsze, dlatego właśnie że późniejsze, będą zapewne jeszcze doskonalszemi. Waszemu korespondentowi nie trafia to jednak do przekonania, i w tym względzie przechyla on się do opinii Kraszewskiego, który w jednej ze swych korespondencyj niedawno pisanych słusznie powątpiewa, aby w puściźnie po Fredrze znalazło się coś, coby mogło przewyższyć „*Zemstę*“ i „*Śluby panienskie*“. Powszechnie utrzymują że Fredro dlatego przestał publikować, że był zrążony niesprawiedliwą krytyką; mnie się jednak wydaje, że to nie był właściwy, a przynajmniej główny powód. Fredro zamilkł, nie dla obrazy, nie przez dumę, ale zapewne dlatego, że w te

dzieła które stworzył, wcielił całą swoją duszę poetyczną i że mu zamilknąć było trzeba, jak zamilkają słowiki na świętego Wita. Inaczej nie mógłbym pojąć ani wytłumaczyć sobie tego stanowczego i tak długo trwającego usunięcia się z areny teatralnej, na której tyle zbierał wawrzynów i okłasków — przynajmniej historya literatury nie pokazała dotychczas żadnego podobnego przykładu i z naturą duszy artystycznej to się nie zgadza.

Akademia umiejętności, a mianowicie jej komisya historyczna, najobfitsza dotychczas w publikacye, wydała świeżo: „*Kodeks dyplomatyczny Małopolski*“, opracowany i objaśniony przypisaniami przez dra Fran. Piekosińskiego. Kodeks ten obejmuje dokumenta między 1178 a 1386. Najobfitszego materiału, bo 80 blisko oryginalnych dokumentów, dostarczyło do niego archiwum zgromadzenia panien franciszkanek, przy kościele św. Jędrzeja w Krakowie; oprócz tego weszły do Kodeksu dokumenta z kopiarza Jędrzejowskiego, ze zbiorów hr. Władysława Czartoryskiego (mianowicie z tek Naruszewicza), z Archiwum akt ziemskich i grodzkich w Krakowie i t. d. Najnowszy „*Pamiętnik akademii*“, wydziału historyczno-filozoficznego, obejmuje trzy artykuły z dziedziny archeologii, pomiędzy którymi pierwsze miejsce zajmuje niezwykle ważna rozprawa p. I. N. Sadowskiego. Może po raz pierwszy w naszej literaturze występuje tutaj archeologia jako syntetyczna umiejętność, z rozrzuconych dotychczas aktów i ułankowych badań dochodząca do pewnych wniosków i prawd historycznych.

Przed dwoma już miesiącami pisałem, że zmarły w maju r. b. Józef Szalay, właściciel Szczawnicy, ostatnią swoją wolą zapisał szczawnickie zakłady zdrojowe Akademii umiejętności. Wówczas jednak bliższe szczegóły i warunki tego zapisu nie były jeszcze wiadome. W tych dniach, mianowicie 6 b. m., Akademia weszła już w urządowanie posiadanie Szczawnicy i cały zakład, ze wszystkimi zdrojami, budynkami, parkami, gruntami do zakładu należącymi, oraz inwentarzem zdrojowym oddany został w ręce adwokata dra Szlachetowskiego, delegata Akademii umiejętności. Teraz także doszedł do wiadomości publicznej i testament s. p. Szalaya. Ukochał on swój zakład, który jego staraniem powstał i rozwinął się, jakby swoje ulubione dziecko, i jak za życia nie pragnął ciągnąć z niego zysków; tak też i na później życzył sobie, aby Szczawnica istniała jako zakład pożyteczny dla kraju i ogółu. W testamencie swoim dziękuje on publiczności za liczne odwiedzanie zdrojów, mężom nauki i lekarzom za udzielanie pożytecznych dla zakładu rad — i uczyniwszy Akademią umiejętności właścicielem Szczawnicy, z warunkiem tym, aby połowę czystego dochodu wypłacała jego synom, drugą zaś obracała na podniesienie i rozwój zakładu, kończy swoją ostatnią wolę temi wyrazami: „*Tym sposobem dopełniam sumiennie obowiązków ojca względem moich synów i obywatela względem kraju, pod którego dobroczynnym niebem przeżyłem wiek sędziwy (Szalay bowiem był z rodu Węgram), a w życiu mojem doznawałem zawsze szczerzej życzliwości i poparcia w ustaleniu bytu zdrojowisk.*“ Zaiste, zapis Szalaya jest nie tylko czynem szlachetnym, ale też i wysoce rozumnym, i życzyby sobie tylko należało, aby jaknajwiększa liczba naszych obywateli umiała w podobnych wypadkach tak sobie postępować.

I innę też zdrojowiska galicyjskie są wogóle na drodze rozwoju i wszystko coraz lepszą przyszłość zapowiadać im się zdaje. W obecnym roku tak w Szczawnicy, jak i w Krynicy leczyło się bezmała po 2,000 osób, a oprócz tego inne kąpiele, jak Iwoniec, Żegiestów, Rabka i t. p. zgromadziły także znaczną liczbę pacjentów i turystów. Nowe linie kolei żelaznej, powstające w Galicyi, przyczyniają się także niemało do uprzystępnienia wielu zdrojowisk, a tem samem do ich podniesienia się. Krynica na przykład będzie już podobno w tych dniach odległą tylko o milę od kolei z Tarnowa przez Nowy Sącz ku Węgrom, czyli, mówiąc inaczej, podróżnym oszczędzi się przez to kilkanaście mil uciążliwej drogi bryką

góralską lub pocztą po kraju górzystym, co już niejednego odzwiedzenia naszych kąpiel odstraszało. Z naocznego widzenia przypominam sobie takie wydarzenie, że jakaś rodzina, podobno z królestwa, przesiadłszy się z kolei na wóz pocztowy w Bochni, zaledwie wyjechała za miasto i zobaczyła pierwszą górę którą przebyć należało, kazała zawrócić do Bochni i pojechała do Franzensbadu, woląc tam odbyć około stu mil koleją, niż tutaj kilkanaście mil ciężkiej, górzystej drogi.

Donieśliście już swoim czytelnikom, że Towarzystwo tatrzańskie otworzyło szkołę snycerstwa w Tatrach. W tej samej materii należy mi dodać, że na ten cel wydział Towarzystwa najął obszerny dom w środku Zakopanego, w bliskości kościoła, i że nauczycielem mianowany został ów Maciej Marduła, o którym wspominałem już w poprzednim liście, a do pomocy dodany mu Wojciech Kojca, również snycerskie zdolności pokazujący góral. Na pierwszy początek zapisało się, tak z Zakopanego, jako i z okolicznych wsi, sześciu uczniów. Towarzystwo łoży znaczne koszty na utrzymanie tej szkoły, podobno jednak daje się jeszcze uczuwać brak modeli i dlatego Towarzystwo odzywa się do publicznej ofiarności, aby mu nadsyłaniem stosownych, choćby i drobnych, modeli w pomoc przyjść chciała.

Równocześnie inne Towarzystwo w samym mieście daje niemińsze dowody swęj skrzętności i chęci życia. Mówię tu o Towarzystwie muzycznym, które powstało przed kilku zaledwie miesiącami z przeobrażenia dawniej tak zwanej „Muzy”. Muza w ostatnich czasach zaczęła upadać i dlatego trzeba ją była zreorganizować i nowe do niej wprowadzić żywioły, jeżeli Towarzystwo istnieć miało. Zadania tego podjął się i, jak dziś powiedzić już można, wywiązał się z niego zaszczytnie p. Niedzielski, niegdyś dyrektor opery lwowskiej. Dwa publiczne koncerty, o obszernym programie, mieszczącym w sobie nawet większe klasyczne utwory, dały już dowód, że Towarzystwo muzyczne rzeczywiście się odrodziło i że ma przed sobą przyszłość. W ostatnich miesiącach, mianowicie po dokonaniu nowych wyborów, komisja artystyczna z Iona Towarzystwa zajmowała się zmianą regulaminu szkoły, wynalezieniem stałego lokalu dla Towarzystwa, którym ma być pewna część b. pałacu biskupiego (w tym gmachu, jak wiadomo, mieści się także od lat kilku wystawa sztuk pięknych), i wreszcie sprawą wydobycia funduszów pozostałych po Bursie muzycznej, utrzymywanej niegdyś kosztem publicznym, a zniesionej przed kilku laty. W tym celu komisja, pod przewodnictwem hr. Aleksandra Czartoryskiego, poczynić ma kroki do władz właściwych.

Na wystawę obrazów p. Andrzej Grabowski przysłał znów kilka portretów, tudzież wyborny, charakterystyczny obraz p. t. „Przy miodzie”. Składa się on tylko z jednej figury naturalnej wielkości, do pół ciała, którą, jak widać, jest jakiś mieszczanin krakowski stariej daty. Mimo siwych włosów, spadających z pod konfederatki, twarz jego pełna jest życia i zadowoleniu prawie młodzieńczego; mimo lat, zdrów on widać i silny, a szklanka miodu, której z lubością się przypatrzuje, chociaż zapewne już nie pierwsza, nie zamąci mu w głowie, ale doda jeszcze humoru i fantazyi. Pan Pruszkowski, jak się pokazuje, nieustający w pracy i płodnej twórczości, dał „Zachód słońca”, stojący na równi z lepszymi utworami jego pendzla, przeważnie poetycznością się zalecającymi. Ale ozdobą wystawy w tej chwili jest p. Lipińskiego „Wiosna”. Przesłiczny to obrazek! Pomysł jego bardzo prosty: młody wiejski chłopak, oparty o płot, wygrywa na wierzbowej fujarce; obok niego siedzi na przelaju śmiejąca się dziewczyna; za nimi kilka drzew, a w głębi kilka chat rozrzuconych. Lecz ileż charakterystyki i prawdy w tych twarzach, szczególnie w jowialnie-poważnej minie parobczaka, który całą duszą zdaje się w tonach swęj muzyki się utopił i nie zważa nawet na żarty ładnej towarzyski! Jak szczęśliwie pochwycony nietylko nasz pejzaż wiejski, ale i kolor nieba, ton tego wiosennego powietrza, które się w pierwszych dniach cieplejszej pory ponad naszymi polami unosi! Ca-

ły obraz uderza przedewszystkiemi miłą, łagodną jasnością słońca wiosennego, niemającego jeszcze w sobie nic z późniejszej jaskrawości; suknie tej pary wieśniaczek, z wyjątkiem kraciastej chustki porzuconej na ziemię, także są w barwie jasnej; mimo to jednak, chociaż w opisie koloryt może jednostajnym by się wydawał, widziany na obrazie, pełen jest życia i niezwykle sprawia efekt.

Rocznik statystyczny, wydany przez centralną komisją wiedeńską na rok 1874, zamieszcza także wiadomości o Galicyi, z których przytoczę tutaj ważniejsze, w tém przekonaniu, że mogą być dla czytelników interesujące. Są to mianowicie dane, odnoszące się do stanu naszych szkół i prasy peryodycznej. Szkół tak zwanych ludowych, czyli początkowych, do których uczęszczać obowiązane jest każde dziecko między 7 a 14 rokiem życia, zarówno publicznych jakoteż i prywatnych (tych stosunkowo jest niewiele) było w r. 1874 wogóle 2,486; nauczano w nich 3,212 nauczycieli i 644 nauczycielek. Chłopców obowiązanych do nauki było 387,903, dziewcząt 388,219; z tych chodziło do szkoły: chłopców 119,248, dziewcząt 85,181, czyli na 776,122 dzieci, obowiązanych się uczyć, spełnia ten obowiązek prawie tylko czwarta część, bo 204,429. Uniwersytetów jest w naszej prowincyi najwięcej, bo 2 z pomiędzy 6 istniejących w całej Przedlitawii; zakładów technicznych mamy również 2; gimnazyów wyższych 14 (Czechy mają ich 18); niższych 3 (w Czechach 6); szkół wyższych realnych 4, kiedy w Czechach jest ich aż 24; szkół realnych 6 (w Czechach 17); seminarjów nauczycielskich 9, to jest 6 męzkich a 3 żeńskie. Ogólna liczba pism peryodycznych, wychodzących w Galicyi, wynosiła w r. 1874 (a od tego czasu niebędzie zapewne żadnej znaczniejszej różnicy) 60; pomiędzy temi było: politycznych 19 (w Czechach aż 67), ekonomicznych 2, gospodarskich 2, techniczno-przemysłowych 2, medyczno-przyrodniczych 5, prawnicze 1, teologicznych i moralnych 2, pedagogicznych, stenograficznych i dla młodzieży 5, historyczno-literackich 2, traktujących teatr, muzykę i mody 4, beletrystycznych i humorystycznych 10, wreszcie pism lokalnych 6 (w Czechach 32). Z tych 60ciu pism galicyjskich 47 wychodziło w polskim, reszta w innych językach. Z porównania pokazuje się, że Czesi na tém polu stoją wyżej od nas, bo liczba pism w języku czeskim wynosi 108, zatem przeszło dwa razy więcej niż w Galicyi.

W tych dniach ogłoszony został przez namiestnictwo program organizacji nauk w nowej szkole techniczno-przemysłowej, która od 1 października r. b. ma zająć miejsce dawniejszego Instytutu technicznego. Zakres tej szkoły, składającej się z trzech odrębnych oddziałów, szerszy jest niż zwiniętego Instytutu, ma ona jednak dawać wykształcenie więcej praktyczne, sposobiące młodzież do różnych zawodów rękodzielniczych i przemysłowych.

SZEWCKIE DZIECKO,

POWIEŚĆ

przez

Teodora Tomasza Jeża.

(Dalszy ciąg.)

Stał i przypatrywał się; przypatrywał się długo, nie mogąc dosyć nasycić się widokiem. A słońce chyliło się coraz to niżej i niżej, zapadając ze strony przeciwniej tej, z której bohater nasz przychodził. Odezwały się dzwony. Chłopiec zadrżał. Jęcznienie śpiżu, ułożone w gamę tonów, przeniknęło go nawskróś, jakby on sam był instrumentem, na którym grała ręka niewidzialna. To co widział, w połączeniu z tém co słyszał, wprawiło go w zachwyt. Osłupiał—patrzył i słuchał. Odgłos dzwonów ucichł—on słuchał jeszcze. Słońce zaszło i zmrok gęstniał, zmieniając się w ciemność

powoli—on patrzył wciąż i doczekał się tego momentu, w którym miasto przybrało pozór otchłani, usianej gwiazdami w dole i odbijającej luną na niebie. Doczekał się nocy. O słuch jego uderzał gwar daleki, niby szum morza, bijącego falami o brzegi.

Skrucha go opanowała. Ukłękł, przeżegnał się i modlił.

Sen go zmorzył. Pochylił się i zasnął.

Pierwszy brzask dnia zastał go na nogach. Spojrzył ku miastu. Miasto leżało przed nim w otoczeniu tumanu porankowego i utraciło te uroki, jakie go z wieczora uderzyły. Przeżegnał się i rezolutnie ruszył naprzód. Szedł z razu szybko, w miarę jednak jak się zbliżał, zwalniał chód i rozmyślał począł.

Rozmyślał—o czém?

Odpowiedzieć na pytanie to jest niemożliwością. W głowinie chłopięcej panował odmęt, z którego on sam sprawyby zdać nie umiał. Na tle odmętu tego kręśliły się obrazy, wywoływane przez wspomnienia, które się ześrodkowywały w gnieździe rodzinném. Stał mu w oczach ojcowski warsztat, na ławie pod oknem rozłożony. Pod ławą kopyta; na ścianie dratwy na kółkach zawieszono; wzdłuż ściany stoją formy z naciągniętą na nie i ćwieczkami poprzybijaną skórą, pod ławą trzy stołeczki o trzech nogach; na jednym siedzi czeladnik i podeszwę obkrawa, na drugim brat najstarszy młotkiem stuka, na trzecim ojciec cholewę obszywa, przytrzymując ją na kolanie pocięgiem. Na wspomnienie pocięgiła zimno się chłopcu zrobiło, lecz wnet stanęła mu w wyobraźni postać matki i z postacią tą w parze ojciec łagodniejszym się wydał. Serce się mu ścisnęło.

— Co oni porabiają tam teraz?... — zapytał sam siebie.

I obejrzał się na słońce, które w tej właśnie chwili wychylało nad widokrąg oblicze swoje. O porze tej w warsztacie ojca jego robota się rozpoczynała, a rozpoczynała się w sposób następujący: na trzech stołeczkach zasiadało trzech rzemieślników, stary Odrębski młotek podnosił i spuszczał takowy, uderzał zarazem w kopyto i w śpiew:

„Kiedy ranne wstają zorze, Tobie ziemia, Tobie morze“ etc.

Matka, podchwytyjąc wyraz pierwszy, wtórowała z alkierza.

Hymn poranny szedł wraz z robotą.

Hymn ten zadzwonił chłopcu w uszach. Wydało się mu, że go słyszy, że przestrzeń, na przebycie której dni dwanaście spotrzebował, znikła nagle, że cała podróż jego była złudzeniem, snem, który przeminął, i on, zbudzony, słyszy i rozróżnia głos ojca, głos matki, głos brata najstarszego i głos czeladnika. Obok śpiewu rozlega się stukanie młotków. Kaziowi na płacz się zebrało. Łzy mu z oczu lunęły.

— Tatku mój!.. matenku moja!.. — powtarzał, krocąc bokiem drogi — czy ja was zobacze kiedy?..

Była chwilka, w której zawahał się, czy ma iść dalej, czy też zawrócić i tą samą drogą pójść wstecz, paść ojcu do nóg i powiedzić: „Oddawaj mnie do stolarza, do rymarza, do mularza, tylko nie oddalaj mnie od siebie.“

Pastanowienie to bohater nasz wykonałby może, gdyby je był powziął na seryo, a byłby je powziął na seryo, gdyby nie zapędził się zadaleko. Po między ojca jego warsztatem a nim było drogi dni dwanaście, odbytej pieszo i poznaczonej od początku do końca oświadczeniami, poczynionemi wieśniakom, co mu gościnności użyczali. Wszak wieśniacy zapytywali go: „Dokąd idziesz i po co?“ — i odpowiedź jego brzmiała niezmiennie: „Idę do miasta po naukę.“ Rozgadał, czuł się więc związanym słowem własnym i zmuszonym dotrzymać takowego. Szedł zatem dalej i dalej.

Kiedy na przedmieście wkraczał, na zegarach miejskich biła ósma.

Przedmieście wydało się mu miastem. Oglądał się, postępując powoli, i przemyślał począł, jakby to się do Józefa dopytać. Józef był czeladnikiem kotlarskim, wydało się mu więc, że pierwszy

lepszy pokaże warstat. Uszedłszy przeto przetrzeń pewną, zaczępił jednego z przechodniów:

— A gdzie tu, proszę uniżenie, warstat kotlarski?...

— Warstat kotlarski?... — zapytał zaczępiiony, spojrzawszy na chłopca i odszedł, nie dawszy mu odpowiedzi żadnej.

Zaczępił drugiego; ten nie zatrzymał się wcale. Trzeci odpowiedział:

— Co mi tam do warstatu kotlarskiego?...

Czwarty ofuknął się i odrzekł:

— Nie zatrzymuj, błaznie, ludzi na drodze takimi pytaniami głupiemil!...

Piąty ramionami ścisnął i rzucił wyrazy:

— Pytaj kogo innego!...

Szósty rozmówił się z nim.

— Na cóż ci warstat kotlarski?... — zapytał.

— Tam brat mój czeladnikiem jest...

— Na której ulicy?... pod którym numerem?...

Ulica?... numer?... były to rzeczy nieznanie Kaziowi, w którego miasteczku rodzinnym oznaczano położenie domu wedle tego, jak daleko który na prawo lub na lewo leżał od kościoła, od zajazdu Moszka lub Szmula, od ratusza, od dworu, od bóżnicy i od tym podobnych budynków znacznych. Odpowiedział więc w zakłopotaniu:

— Alboż ja wiem!...

— Jeżeli nie wiesz ty, to jakże ja wiedzieć mogę?... — odparł przechodzień. — Czegóż od brata chcesz?

— Niczego.

— Pocóż więc dopytujesz się o niego?

Indagacja ta zmieszała chłopaka. Począł bąkać:

— Bo... to... ja... brat...

— Jak się zowiesz?...

— Kazmirz Odrebski...

— Chcesz zapewne stanąć u kotlarza za chłopca terminatora?

— Nie... nie wiem... ja do brata...

— Możebyś wolał w innym terminować rzemiosło, w lakiernictwie na przykład? Pójdź ze mną, ja chłopca właśnie potrzebuję... Jeżeli się będziesz szanował, będzie ci dobrze.

— Ależ bo to—zaczął Kazio.

— Cóż? chcesz, czy nie chcesz?—zapytał przechodzień.

— Ja do brata...

— E, idź do licha! Co mnie tam brat twój obchodzi.

Dopytując się w ten sposób, dostał się wędrowiec nasz do miasta, na ulicę, której pozór w zdumienie go wprowadził. Po jednej i po drugiej stronie szeregi kamienie wysokich, spodem magazyny pyszne, tu i owdzie kościół wspaniały, tu i tam gmach struktury pałacowej, na chodnikach pełno panów i pań, środkami pojazdy toczą się, mijając jedne drugie—zgiełek, turkot, huk.

— Co tu począć?—zadał sobie biedny chłopiec pytanie.

Położenie jego stało się kłopotliwym wiele.

Nie pytał już nikogo. Szedł naoslep przed siebie, zatrzymując się niekiedy i obrzucając wzrokiem obrazy, przesuujące się przed oczami jego. Wychodził z ulicy w ulicę, nawracał, brał się raz w prawo, znów w lewo i po upływie czasu jakiegogoś poznał, że jest zgubiona w tłumie jednostką. Zbięrało mu się na płacz razy kilka, powstrzymywał go jednak wstyd. Gdy atoli czas upływał i głód nareszcie dokuczać począł, zapłakał.

Zdarzyło się to na placu jakimś, na środku którego wznosiła się studnia monumentalna, wyobrażająca trytona, trzymającego pod pachą rybę olbrzymią, wyrzucającą wodę z paszczy otwartej. Ten tryton i ta ryba łyzy mu wycisnęły, pomyślał sobie bowiem iż znajduje rzeczy, o których mu się nie śniło nigdy, a brata rodzinnego odszukać nie może. Zamiast tej studni, wolałby Józefa.

Usiadł na jednym ze stopni co do basenu prowadziły i płakał.

Płakał rzewnie, oczy dłońmi zasłaniając i nie widząc, jak się dookoła niego zebrała gromadka pauprów, przypatrujących mu się zrazu ciekawie i wesoło, a dalej rzucających wyrazami w następujący sposób:

— Co to za jeden, jegomość ten?

— Jakiś chyba urzędnik z magistratu, od wody. Boi się, żeby w studni wody nie zabrakło i doléwa.

— Nie—rzekł inny. Gdyby to był urzędnik, toby wlaź w rybę i pomagał jej rzygać wodą.

— Jeżeli nie urzędnik, to chyba pauper.

— Pauper! plaksywy!—krzyknął któryś.

Na krzyknięcie to, Kazio dłoń od oczów odjął i spojrział.

— O, jakież on ma piękne oczy!—zawołał z uliczników jeden. —Oj, oczy!...

W chwili tej uwagę pauprów zwrócił na siebie przechodzący nieopodal jegomość jakiś, którego ruchy i mina zdradzały wiejskiego mieszkańca. Paupry, z wyjątkiem jednego, pogarnęły się za nim, otoczyły go i konwojując, wywoływały:

— Królu! królewiczu! króliku! księżę udzielny! grosik na tabakę! Będziesz błaznem, jeżeli po grosiku nie dasz!

Snadź jednak przemowy nie trafiły do jego przekonania, słysząc się bowiem dały wołania:

— O kpie jakiś! o błaznie!

Pauper, co przy Kaziu pozostał, postął przed nim przez chwilę i następnie, zasiadając obok niego, wszczął z nim rozmowę od zapytania:

— Czy nie życzyłbyś sobie wstąpić do cechu naszego?...

Chłopak w odpowiedzi wyraził nieświadomość zupełną nie tylko pod względem cechu, ale i pod względem zapytania samego.

— Jako?... czy sposób być ciemnym tak dalece, ażeby nie o ulicznikach nie wiedzieć?... Cóż ty za jeden?... Zkąd się wzięłeś?...

— Przybywam zdaleka (tu wymienił Kazio nazwę miasteczka rodzinnego)... Ojciec mój jest szewcem...

— Znać zaraz żeś parafianin, ze światem nieobyty... Potrzebujesz przewodnika i opiekuna, którego znajdziesz we mnie...

Wyrazy ostatnie brzmiały tonem pewności siebie.

Kazio rzucił na opiekuna okiem i, niezadowolony znać wysoką, jaka go niespodzianie spotkała, łaską, odezwał się prośby tonem:

— Mam tu brata starszego, którego szukam...

— Brata?... — podchwycił protektor. — Co ci po bracie, kiedy masz mnie?

— Ale ja do niego przychodzę... z nim zobaczyłbym się pragnął...

— Chybaś się z nim oddawna nie widział...

— Od lat szczęściu; zaledwie go pamiętam...

— A! to co innego... — odparł pauper poważnie. — Gdzież brat twój?...

— Celadnikiem jest u kotlarza...

— U którego?... Kotlarzy huk, to wiedzieć potrzeba u którego, na której ulicy i pod którym numerem...

— Ja o tém wszystkiém nie wiem...

— Więc jakże... myślałeś że brata twego wszyscy znać powinni?...

— Nie myślałem tego, bo nie znałem porządków wielkiego miasta...

— Hm... — mruknął pauper, zamysłając się. — Mógłbyś wprowadzić brata w trąbę puścić i widzenie się z nim odłożyć do doliny Józefatowej... Nie straciłbyś na tém nic; ale że tu idzie o uczucia familijne, więc trzeba by jakoś poradzić... Jak się brat twój nazywa?...

— Józef Odrebski...

— Józef Odrebski... hm... to dobrze... Wzięłem cię pod protekcję moję, muszę więc ci dopomóc... Pójdź... Znam warstaty kotlarskie (tu głowę do góry podniósł i przypominać sobie począł)... na ulicy Strzeleckiej... na Krowiej... na Ptasięj... na Pańskiej... będziemy je odwiedzali po kolei...

Sposób ten przedstawiał się jako jedyny do odśzukania człowieka, którego adresu się nie znało. Kaziowi, znękanemu chodzeniem od świtu i prawie zrozpaczonemu, nie nie pozostawało innego, jak powierzyć się przewodnikowi, nie rozbudzającemu ufności wielkiej. Wyboru wszakże nie było. Należało przyjąć ofiarę protektora, albo wyrzec się nadziei odśzukania Józefa. Kazio powierzył się pauprowi.

— He... — odezwał się ten ostatni, wchodząc

w jedną z ulic, która się od placu poczynała — napiłbym się piwa, gdyby było za co... a ty?...

— Ja od rana nic w ustach nie miałem...

— Znaczy żebyś coś zjadł, gdyby było za co... Ale wszystko to głupstwo... Człowiek żyje nie samym chlebem tylko, jak powiadają księża, gdy są niegłodni... W cechu naszym często wypada o głodzie przeżyć dzień jeden i drugi...

Mowa o głodzie rozbudziła w bohaterze naszym pociąg do jedzenia. Posiadał w kieszonce złotówek parę miedziakami. Zwierzył się więc z tego przed protektorem swoim.

— He!... — krzyknął tenże. — Pokazuje się żeś nie stracił, nie popędziwszy za tym jakimś głupim królewiczem, za którym inni pobiegli... Znajdziemy sobie do matki Jędrzejowej, co wątrobę tak przyprawia, że królewicz prawdziwy obliżałby się, gdyby pokosztował; przekąsimy, a potem udamy się do majstrów kotlarskich.

Skreślił w ulicę na prawo, następnie na lewo, potem znów na prawo, wydobył się na plac opuszczonymi straganami zastawiony i wśród budynków murowanych, które go otaczały, posiadający kilka zabudowań drewnianych, konstrukcyi barokowej. Do jednego z zabudowań takich pauper wprowadził protegowanego swego. Była to szopka długa, bez podłogi, a w niej pełno stołów i ławek długich a wąskich, spoczywających na nogach w ziemię wbitych. W jednym z kątów szopki tej stał pod okapem piec murowany, przy którym uwijała się baba, zasługująca z powodu powierzchowności swojej na miano baby-Heroda. Odzież na niej zatłuszczona, miną groźna, chustka na głowie na bakier, ręce żyłaste, tusza dobra, w ręku warzęcha. Przy pomocy dwóch istot płci odmiennych, potulnych i brudnych, doglądała kotła jednego i rynek kilku, pod którymi węgiel się żarzył. Za stołami siedziało osób kilkanaście, niezapełniających jednak wnętrza szopy i w części dziesiątej. Goście ci, bez wyjątku prawie, należeli, sądząc wedle ich powierzchowności, do klasy wyrobniczej.

Pauper z Kaziem ulokowali się przy stole najbliższym pieca. Mina, jaką pauper przybrał, była butna, a przytém poważna.

— Hej!... — odezwał się zasiadając. — I cóż tam, matko Jędrzejowa?...

— A cóż, urwipolciu!... — odparła matrona.

— Masz, pani matko, co do jedzenia i do lizania?...

— Dałabym ci do oblizania nos kundla, którym szczuję takich jak ty, gdybym się nie lękała, ażebyś mu nosa nie powalał.

— Trzymajcie-no, pani matko, język za zębami, bo my (tu na siebie i na Kazia ukazał) przychodzimy z kapitałem w gotówce... moneta brzęcząca... Jeżeli was o lizanie pytam, to nie o nos waszego kundla mi chodzi, ale o to, że temu kawalerowi (tu na Kazia ukazał) zachwaliłem wątrobę u was i namówiłem go do pokosztowania specyału tego...

— Jeżeliś zachwalił, to nie bez racji... — odrzekła baba tonem złagodniałym znacznie. — Wątroba u mnie...

Dokończyła cmoknięciem i ust wykrzywieniem, poprawiając chustki na głowie.

— Dajcież nam najprzód polówki jakiej i chleba po partyce...

— Będzie polówka, ale... gotówka na stół!...

Kiwnęła palcem i stuknęła nim o tarcicę, która, wespół z drugą, do niej niekoniecznie szalenie przystosowaną, stanowiła nieosłonięty obrusem żadnym, a napojony obficie tłuszczem blat stołowy. Odnosiło się to do wędrowca naszego. Chłopiec wydobywał z kieszonki grosze i składał je przed matroną, która liczyła:

— Raz, dwa, trzy... jedna porcja... Raz, dwa, trzy... druga porcja...

Zagarnęła pieniądze.

— A piwo?... — przypomniał pauper.

((Dalszy ciąg nastąpi)).

Artykuły treści naukowej, z innych piśmiennictw czerpane.

Instynkt i inteligencja zwierząt,

przez M. N. Joly.

(Dokończenie.)

Wspomniałem już o moim psie, Piramie. Jeśli mu grozić chłostą, wtedy on łaszeniem się i pokorną postawą daje mi do zrozumienia, że pojmuję karę, która go czeka; jeśli mu pokazuję kawałek mięsa lub cukru, pojmuję również że jest to pokarm, mogący zaspokoić głód jego, lub mile podrażnić zmysł smaku.

Oczy i zdrowy rozsądek mówią nam, że zwierzęta obdarzone są pamięcią. Buffon oburza się na tę niezbitą prawdę, mówiąc że ponieważ pamięć jest śladem, jaki w duszy pozostawiają myśli, to nie może ona istnieć u zwierząt, jako nieposiadających ani duszy, ani daru myślenia. Tymczasem dowiedliśmy przed chwilą faktami, że zwierzęta mogą myśleć. Niebrak na to przykładów, i jeśli co nas kłopotuje, to tylko trudność wyboru między tysiącem faktów.

Pomijam psa Odysseusza, który, wedle pięknej legendy Homera, zakończył życie z radości, powitawszy powracającego po wielu latach swojego pana; pomijam owę wilezycę oswojoną, z botanicznego ogrodu w Paryżu, która po trzech latach poznała swego poprzedniego właściciela i z oznakami najwyższej radości łasiła się do niego; ograniczę się na przytoczeniu dwóch faktów, zaczerpniętych z historii psa domowego.

Znaną jest powszechnie zmysłność kundysów owczarskich; odmiana ich, wytworzona w Ameryce, służy do pilnowania gromad wołów, utrzymywanych w stepach amerykańskich. Otóż dozorecy wołów tak polegają na sprycie swoich psów, że niekiedy wysyłają stado do domu pod opieką psów samych, które akuracie po poleceniu wypełniają. Widziałem raz psa takiego, który zaprowadził całe stado wołów do New-Yorku, o mil dziesięć odległego, i zagnał je do zagrody na targowisku, należącej do jego pana.

Znaną jest anegdota o chirurgu Pibrac. Pewnego dnia zobaczył przed domem swoim psa ze złamaną nogą; wziął go do siebie, opatrzył, pielęgnował i wreszcie wyléczył. Wkrótce potem pies znikł: uciekł do swego pierwszego właściciela. Wpół roku później tenże sam pies zjawia się znowu u Pibrac, łasi się, przymila i ciągnie go za połę od surduta, dając przez to do zrozumienia, aby poszedł za nim. Jakoż nieopodal od domu Pibrac spostrzegł sukę ze złamaną nogą, którą dawny pacjent przyprowadził na kurację do swego doktora i dobroczyńcy.

Oprócz pamięci zauważać można u zwierząt przypomnienie, które nie jest powtórzeniem wstrząśnięć mózgu wywołanych przez wrażenia—jak twierdzi Buffon—ale raczej nagłym rozbudzeniem wspomnień, niezupełnie zatartych w pamięci. Pies który rozpoznaje swojego pana, przebranego lub zmienionego przez chorobę, który odnajduje drogę raz jeden przebytą, czyni to na mocy przypomnienia.

Oto uderzający przykład, opowiedziany przez p. Richarda, autora dzieła „O koniu.”

Pies, dręczony przez uliczników, schronił się do p. Richarda, który widząc iż pies ów miał koniec ogona zgnieciony, zrobił amputację i opatrzywszy ranę, psa wypuścił swobodnie. Blisko w rok potem, przechodząc koło pewnego folwarku w okolicy, p. Richard zobaczył dwa brytany, biegnące ku niemu w zamiarach wcale nie przyjaznych, bo z wyszczerzonymi zębami. Nagle jeden z napastników zatrzymuje się, spogląda bacznie na przybysza, przywołuje wspomnienia, od-

traca swego kolegę i zaczyna łasić się swojemu dobroczyńcy; był to ów pies, amputowany przed kilkoma miesiącami.

W tym fakcie jest kilka rzeczy godnych uwagi:

1. Usłuchanie instynktu *nabytego*, mianowicie obrona własności swego pana.

2. Przywołanie dawnych wspomnień, czyli przypomnienie.

3. Poznanie wskutek tej dobrowolnej czynności.

4. Pamięć umysłu, a zwłaszcza pamięć serca.

Niektórzy twierdzą, że zwierzęta nie są zdolne do myśli oderwanych (abstrakcyjnych), że z faktu szczególnego nie wyciągają wniosków ogólnych; lecz i pod tym względem nie można wypowiadać zdań bezwzględnie stanowczych, bo oto parę faktów, które temu twierdzeniu zaprzeczają. Wilk, ścigany przez psy, ma niewątpliwie ogólne pojęcie o niebezpieczeństwie; to pojęcie, jako abstrakcyjne, istnieć w nim musi, gdyż w razie przeciwnym nie pojmowałby go i w tym odrębnym wypadku. Zwierzęta amerykańskie niegdyś nie obawiały się człowieka, dziś na jego widok uciekają, a więc pojmują że grozi im niebezpieczeństwo; wpróż nie istniało ono, zatem i ucieczka była niepotrzebna.

Zwierzęta przeto do pewnego stopnia rozumują i wyprowadzają wnioski. Oto jeszcze jeden przykład. Wspomniany już Piram jest wielkim lubownikiem cukru i aby go dostać, używa najrozmaitszych sposobów. Ciągnie mnie za rękaw, staje na tylnych łapach, a przedniemi macha, aby zwrócić moją uwagę. Jeśli mu położę kawałek cukru na stole tak, aby go językiem nie mógł dosięgnąć, wtedy Piram zachodzi z drugiej strony stołu, tam gdzie cukier leży najbliżej krawędzi, i chwytając go. A zatem porównał odległości; poznał że z tamtej strony łatwiej dopnie celu i stosownie do tego postąpił. Jeśli zaś cukier leży na samym środku stołu, wtedy Piram, nie mogąc go z żadnej strony dosięgnąć, skacze mi na kolana i wyciągnąwszy szyję, łapie za przysmak upragniony. Więc i w tym razie pies porównywał odległości, ocenił ich różnicę, szukał środków usunięcia przeszkody; słowem rozumował i wyprowadzał wnioski.

Piram ma serce bardzo tklive. Przedmiotem jego zapałów jest suczka, mieszkająca w domu sąsiednim. Jeśli, wychodząc z domu, zabieram Pirama ze sobą, nie odstępuję mu krokiem i idzie poważnie aż na miejsce, dokąd się udać zamierzylem; ale gdy wracamy i jeszcze daleko od domu jesteśmy, Piram wysuwa się naprzód, pędzi cwałem do domu gdzie jest owa suczka, łasi się do niej przez kilka minut i potem, pędem strzają, powraca do mego mieszkania, w chwili właśnie, gdy ja drzwi wchodowe otwieram. Z początku Piram spóźniał się—przyznaje to—i musiałem czekać na niego, albo słysząc jak drapie do drzwi, schodzić na dół i otwierać; ale gdy parę razy został ukarany, stawia się punktualnie, za co zawsze otrzymuje pochwałę. Godnym głębszego zastanowienia jest w tym wypadku cały szereg, cały łańcuch myśli i rozumowań: „jeśli nie wyprzedzę mego pana, nie będę miał czasu odwiedzić mojej najmilszej; muszę więc pobiedz przodem i jak można najdokładniej obliczyć czas, w którym mój pan może dojść do domu, bo w razie przeciwnym sam się spóźnię i będę obity.”

Zdarzyło się wszakże iż Piram, owładnięty namiętnością, która zarówno u psów jak i u ludzi nie zna rozumowania, zapomniał o napomnieniach i karach. Jak tu uniknąć chłosty, choć nie srogą wymierzonej ręką? Piram wpadł na koncept: zamiast wrócić do domu, schronił się do jednego z moich znajomych, który widząc psa zakłopotanego i nieśmiałego, domyślił się że musiał coś

przewinić. Wysłał więc razem z Piramem służącego, poleciwszy mu wstawienie się za przestępcą. Czy pies, udając się do mego przyjaciela, zrobił to z rozmysłem, w nadziei iż zjedna sobie jego pośrednictwo? Nie śmiem twierdzić tego stanowczo, lubo skłonny jestem złożyć i ten fakt na karb inteligencji zwierzęcia.

Piram nienawidzi kotów i robi na nie oblawy, które go drogo kosztowały, gdyż pewnego razu biedaczysko wrócił do domu z okiem wydrapanym. Aby ulżyć jego cierpieniom, przyłożyłem na oko kawałek płótna, zmoczony w naparze malwy. Zdziwiłem się jednak niemało, gdy przy następnych opatrzeniach zobaczyłem że Piram, widząc płótno przygotowane do namoczenia w naparze, lizał je i napawał śliną, wskazując mi tępym lekarstwem prostsze i lepsze niż moje. Usłuchałem tej wskazówki; Piram, wiedziony instynktem, a niewątpliwie i inteligencją, dowiódł mi wyraźnie, że sztuka lekarska psów warta jest dla nich tyle przynajmniej, co cała mądrość Hipokratesa.

Edward Fillof opowiada, że zwiędziwszy raz swego przyjaciela, wdał się w zajmującą gawędkę, której zbyt długa sprzykrzyła się widocznie jego pieskowi. Przemyślnie zwierzę poskoczyło do fotelu i pochwycając leżący na nim kapelusz w zęby, przyniosło go swemu panu, jakby dając do zrozumienia: „już dość długo siedziemy tutaj; czas żebyśmy poszli.”

W Tuluzie—mówi p. Clausade—z rozkazu policyi rzucono na śmietnik kawałek zepsutego mięsa; pies jakiś zatrul się niemi i z trudnością został uratowany. Od tej pory pies ów wygrzebywał ze wszystkich śmietników i zakopywał wszystkie kości i odpadki kuchenne, a inne psy od śmietników odpędzał, z widoczną obawą i troskliwością.

W jakikolwiek sposób te fakta tłumaczyć sobie zechcemy, zawsze dowodzą one że zwierzęta, choćby w najniższym stopniu, dokonywają tych samych czynności umysłowych, jakich my dokonywalibyśmy w podobnych okolicznościach.

Każdy z nas, sięgnąwszy pamięcią w przeszłość, mógłby przytoczyć wiele przykładów inteligencji, zwłaszcza u tych zwierząt, które będąc oddawna towarzyszami człowieka, otrzymały pewien stopień udoskonalenia, dziś przenoszący się już na potomków prawem dziedzictwa. Lecz przekonaliśmy się zarazem, że stopień inteligencji nie jest wcale równy u wszystkich. Królik ma daleko mniej inteligencji od kota, kot mniej od konia lub słonia. Słoń zaś stoi pod tym względem daleko niżej od małp, zwłaszcza od małp antropomorficznych, które nie tylko do złudzenia naśladują ruchy i w ogóle fizyczne czyny człowieka, ale okazują, w młodym wieku zwłaszcza, tyle sprytu, tyle inteligencji, że do pewnego stopnia można usprawiedliwić słowa, które kardynał Polignac wyrzekł, widząc figle młodego orangutana: „Przemów, a ochrzczę cię.”

Co do inteligencji małp, ograniczymy się na paru następujących przykładach:

Orangutang, młody jeszcze, a więc niskiego wzrostu, chcąc się wydostać z pokoju w którym go zamykano, a nie mogąc dosięgnąć klamki, przystawiał sobie krzesło, wlaźł na nie i drzwi otwierał. Gdy wszystkie krzesła zabrano, orangutang, za pierwszą razą gdy go wypuszczono, przesunął z drugiego pokoju inne krzesło do pierwszego i używał go znowu do otwierania drzwi. W tej czynności widoczne są trzy działania myślowe: porównywanie, rozumowanie i sąd. O tymże samym orangutaniu opowiada Fluren, że gdy nie dostał tego czego usilnie żądał, wtedy kładł się i uderzał głową o podłogę, aby przez to obudzić w patrzących współczucie i uzyskać żadaną zabawkę lub przysmaczek. Tak samo postępuje człowiek, gdy jest dziećciem; zwierzęta

zaś, wyjawszy jednego tylko orangutanga, nie uciekają się nigdy do tego podstępu.

Orangutang o którym mówimy, będący własnością F. Cuviera, lubił drapać się na drzewa i swywoić wśród gałęzi. Pewnego dnia Cuvier udawał, że chce także wleźć na drzewo, aby zbiegapochwycić; wtedy orangutang zaczął z całej siły wstrząsać gałęziami, aby swego pana odstraszyć, i powtarzał to za każdą razą, gdy Cuvier zbliżał się do drzewa. Ten fakt jest widocznie następstwem kombinacji myśli, i zwierzęciu które go dopełnia, nie można odmówić zdolności uogólniania pojęć. Orangutang, miarkując po sobie, wyprowadził wniosek ogólny: nieraz zapewne sam się przestraszył, gdy kto wstrząsał gałęzią na której siedział; swój własny zatem przestraszył stosował do drugich i z faktu oderwanego wyprowadził prawidłó ogólnę.

Dureau de la Malle opowiada, że małpa, ścigana przez dziesięć wyźłów, bawiła się z początku tą pogonią, skakała i figlowała, dopóki psy były zdaleka. Lecz zobaczywszy, że wyźły się zbliżają, uciekła na mostek drewniany, rzucony przez strumień w ogrodzie płynący. Psy nadbiegają, jedne rzucają się w wodę, aby małpie przeciąć drogę do odwrotu, drugie skaczą na most. Przebiegła małpa zaczepia u belki długi łańcuch który miała na szyi i spuściwszy się po nim, wisi w powietrzu między psami z dwóch stron na nią czyhającymi. Wtedy, pewna że jej swemi zębami nie dosięgną, zaczyna się huśtać na łańcuchu i psy rozżarte przedrzeźniać.

Z tém wszystkiém przyznać należy, że u tych zwierząt nawet, które posiadają ustrój mózgowy najbardziej zbliżony do naszego, zdolność uogólniania faktów zamyka się w nader ciasnych granicach. Tak na przykład małpy, psy i koty lubią się wygrzewać przy kominie, ale żadne z tych zwierząt nie umie zapobiedz wygaśnięciu ogniska, dającego to ciepło, którego tak pożądamy. Słusznie mówi Dugès, że siły ich przekracza rozumowanie następujące: ciepło jest przyjemne, a ogień daje ciepło; ogień utrzymuje się zapomocą drzewa, potrzeba więc wrzucić drzewo w ogień, aby używać ciepła.

Gdy mój pies zachorował, nakryłem go kołderką; jeśli kołderka spadała, pies nie umiał naciągnąć jej znów na siebie, z powodu tego samego braku zdolności uogólniania faktów.

Dowiedliśmy, zdaje się, temi przykładami— a moglibyśmy przytoczyć ich daleko więcej— że zwierzęta, których ustrój zbliżony jest do naszego, zdolne są, równie jak i my, do odbierania wrażeń, do myśli bezpośredniej czyli pojętej, do myśli pośredniej czyli wspomnienia, a tém samym i pamięć posiadają. Przymtem mają one dar uwagi, porównywania, rozumowania i sądu; lecz będąc ograniczone do życia prawie wyłącznie wrażeń i wypełnianego przez same tylko fakta oderwane, żadnych niemal pojęć ogólnych nie posiadają.

Wogóle zatem inteligencya zwierząt obraca się w kółku nader ciasnym, zwłaszcza jeśli ją porównać zechcemy z obszernym zakresem działalności inteligencji ludzkiej.

A jednakże, niezbyt dawno, Darwin przyznawał zwierzętom zmysł estetyczny, a nawet zmysł moralny i religijny. Jest-to przesada, widoczna dla umysłowych nawet najmniej bystrych i najmniejszych uprzedzonych przeciw poglądom Darwina.

W kwestyi poczucia piękna u zwierząt, Karol Lévêque, w szacownej pracy, poświęconej odparciu tego twierdzenia, dowiódł że oderwane pojęcie piękna i nieodłącznych odń pojęć ład, porządku, harmonii, jest dla inteligencji zwierzęcej całkowicie niedostępne. Dowiódł dalej że wybór płciowy zasada się nie na oderwanem pojęciu piękna, nie na zobopólnej, świadomej i wyrozumowanej sympatyi, lecz na nieprzepartym a prozaicznym instynkcie zachowawczym, który zniewala zwierzęta do łączenia się, w celu przeszkodzenia wygaśnięciu gatunku do którego należą. Skoro tylko temu instynktowi stanie się zadość, wnet, z bardzo nielicznymi wyjątkami, pojawia się w obu płciach wzajemna i najzupełniejsza obojętność. Najwidoczniej daje się to spostrzegać

u ptaków: śpiewy wiosenne, gruchanie, wdzięczenie się, igraszki i zaloty ustają z chwilą ukończenia budowy gniazdko, i, jak mówi La Fontaine przez usta Książnina:

„Zniknęła miłość, więc znikło wesele.“

Tak samo jak poczucie piękna, należy również do instynktów zaliczyć objawy na zasadzie których Darwin przyznał zwierzętom poczucie moralności i religijności. Praca niniejsza nie jest polemiką; dlatego też nie będziemy roztrząsać tych kwestyj, témbardziej że trud ten, założeniem i zakresem swoim, przekracza podjęte przez nas zadanie. Ograniczymy się tylko na wyrażeniu przekonania, że zwierzęta, jako wogóle niezdolne do wytwarzania w sobie pojęć ogólnych i oderwanych, nie mogą tém samym posiadać poczucia moralności i religijności, gdyż od tych dwóch wyrażen nieodłączne są dwa pojęcia najbardziej ogólne i najbardziej oderwane w całej obszerniej dziedzinie myśli.

Sztuka włoska w epoce odrodzenia,

przez M. Carrière'a.

II.

Rozkwit sztuki włoskiej.—Leonardo da Vinci.—Michał Anioł, Rafael, Correggio, Tycjan.

(Dalszy ciąg).

Widziano go często, śpieszącego na plac egzekucyj zbrojniców, lub zabawiającego się w szynku z wieśniakami, gdzie chwycił na gorąco każdy wymowny gest, każdą wyrazistą fizyognomią, i szkicował je w swém albumie, lub przetwarzał w karykaturę. Czyżby mógł w przeciwieństwie do tych postaci kręślić pełen duchowości czar kobiecych wdzięków, gdyby nie był sam niemi owładnięty i uszczęśliwiony? Serdeczność uczucia, subiektywność własnego czucia i myślenia dosięgły u niego równą siłę, jak popęd do badania świata zewnętrznego i zgłębiania praw jego. Po za obrębem dogmatów kościelnych wytworzył sobie religijno-filozoficzny pogląd na życie, który mu pozwolił zarówno Boskie, jak i święte postacie z całym majestatem i słodyczą im właściwą uczynić więcej ludzkiemi. Wszystko to jednak nie przeszkadzało Leonardowi być dobrym ojcem rodziny i gospodarzem, tudzież znawcą i smakoszem wina, jak o tém świadczy list pisany do rządcy jego ziemskich posiadłości, którego uczy jak ma nawozić i uprawiać rolę i w jaki sposób wyłaczać grona, dla otrzymania wina godnego nieba włoskiego. Gdy Franciszek I odprawiał wjazd do Medyolanu, zbudował Leonardo lwa mechanicznego, a automat ten, wyszedłszy naprzeciw francuzkiego monarchy, otworzył przed nim swą pierś, z której wyrosły lilie (herb królewski). Miłujący sztukę monarcha pociągnął za sobą mistrza, który ciesząc się względami swego protektora, spędził ostatnie lata życia w zamku Cloux, gdzie zmarł podobno na ramieniu Franciszka.

Zamknięta w sobie duma i drażliwy patryotyzm Michała Anioła nie były udziałem Leonarda; płynął on ze strumieniem wypadków, niezawisły jednakże od rzeczy nad którymi zawsze panował i które użytkowywał z wesołym, otwartym duchem dla swój sztuki. Francuzki namiestnik Medyolanu, Chaumont, opowiadał, iż powziawszy na podstawie utworów malarskich Leonarda wielką dla artysty sympatją, przekonał się po zawiązaniu z nim osobistych stosunków i poznaniu jego wszechstronności, iż sława, jaką zdobył sobie w zakresie sztuki, gasnie w porównaniu z uznaniem, jakie mu się należy dla innych niepospolitych zasług i zdolności. Jeden z sonetów Leonarda świadczy, jak bardzo temu tak wielostronnie uzdolnionemu i bez wytechnienia czynnemu mężowi leżała na sercu kwestya stosunku między wolą, możliwością i powinnością. „Jeżeli nie możesz osiągnąć tego czego pożądamy, chciej to co może-

bnę; głupiec tylko rwie się ku temu, czemu nie podola. Mądrym przeto mężem jest ten, co nie myśli nawet o pożądaniu rzeczy niemożliwych. Pełnem znaczenia jest dla nas pytanie, kiedy *tak* lub *nie* wyrzec w odpowiedzi pragnieniom naszym. Ten naprawdę *może*, komu Bóg pozwala wiedzieć nietylko co *może*, ale i czego *powinien* żądać. Niezawsze na dobre wyjdzie pragnąć tego, co może być dla nas; często wydaje się słodkiem to, co się w gorzkie później obraca. Nieraz płakałem boleśnie, osiągnąwszy rzecz upragnioną; pozwól przeto że ci tu jedną radę udzię: Jeżeli chcesz być dobrym i dla drugich pożytecznym, chciej mózdz zawsze to tylko, coś *powinien*.“ Obrazy Leonarda wywołują w widzu, jak twory greckiej rzeźby, to czyste i zupełne zadowolenie, przy którym nasze estetyczne upodobanie nie potrzebuje się wspierać na historycznym punkcie widzenia, a umysł nasz nie potrzebuje się przenosić w sferę pojęć i uczuć ówczesnej epoki, by wysiłkiem myśli odtworzyć należytą podstawę do oceny utworu. Sam mistrz nie mógł siebie nigdy dość zadowolić, co przy różnaitości zatrudnień, wynikających z różnostronnych uzdolnień artysty, było powodem iż tak mało wykończonych dzieł pozostawił. Nawet owe słusznie podziwiane rysunki są więcej studyami z natury, niż szkicami pomysłów; przekonanywa to nas, iż Leonardo, pod względem bogactwa twórczej fantazyi, zostawał daleko poza wielkimi współczesnymi mu mistrzami i dlatego znakomitę wykonaniem usiłował pokryć ten niedostatek. Przymtem malowanie *al fresco* daleko mniej mu się udawało, niż olejne, i ztąd sama „Wieczerza“ bardzo prędko uległa licznym uszkodzeniom. Z wyjątkiem wybitnie charakterystycznych męskich głów tego obrazu i pełnych życia grup kartonu „Bitwy“, spostrzegamy ze zdziwieniem, że ideał piękności Leonarda przybrał formy niewieście, że mistrz całą błogość czystej duszy wyraził w dziewczęcym uroku, który z pod osłony macierzyńskiej tęsknoty tak rozkosznie na nas oddziaływa. Wielkie, ciemne, głębokie oczy, prosty nos i uśmiechające się usta, wysmukły podbródek harmonizują wybornie z tym wyrazem oblicza. Nietylko Madonny, lecz i młodzieńczy Chrystus lub św. Jan, a nawet portret Mona Lizy, małżonki Gioconda, przyjaciela artysty, powleczone są tym uroczym wdziękiem. Fantazyja Leonarda trzymała się realizmu przyrody, lecz po to jedynie, by go przekształcić dla tém pełniejszego odbicia ducha. Przelat on uczucie w formy i barwy i przez to wznosił się do ideału. Dlatego też jest on jednym z najpiękniejszych portrecistów wszystkich czasów i ztąd-to poszło u niego obok plastycznie zaakraglonego wymodelowania, owo upodobanie do półcienia, którym wyprzedził Correggia. Vasari tak mówi o wspomnianym wyżej portrecie: „Oczy mają ów połysk i owę wilgotność, jaka im z natury jest właściwą, a rzęsy owe drobnutkie włoski, które tylko rzadka delikatność wykonania odtworzyć zdoła. W brwiach dojrzeć można każdy włos, jak wychodzi ze skóry, miejscami rzadziej, miejscami gęściej, by utworzyć ów piękny łuk nad oczami, w sposób jaknajnaturalniejszy. Usta zarówno na linii zetknięcia się warg, jak i tam gdzie wargi czerwonosą zlewają z barwą dalszych części twarzy, sprawiają wrażenie nie malowidła, lecz rzeczywistego ciała. Kto się z uwagą przyjrzy wypukłościom szyi, ten poczuje nieledwie uderzenie tętna w żyłach. Wizerunek ten był jednem słowem tak wykonany, że i mistrz największy musiał na jego widok zadrzeć z podziwu.“ Delikatne odcienia barw cielistych nie utrzymały się długo i zatarły z czasem, a razem z niemi ów czar naturalności, zachwycający współczesnych; mimo to duchowość tkwiąca w rysach przechowała się dotąd i kto raz w Luwrze badawczém okiem przyjrzał się temu arcydziełu, ten z tęsknotą będzie je zawsze wspominał, bo wywoła mu ono niechybnie przed oczami duszy postać wielkiego artysty i szczęśliwe dni medycejskiej epoki we Florencyi.

Leonardo, dziećcie miłości, uprawnione jednak dość wczesnie przez ojca, mieszkańca Florencyi, oddany był początkowo do pracowni Veracchia,

gdzie uczył się wraz z Peruginem i Lorenzem da Credi; marzycielską uczuciowość pierwszego i pełną dokładności jasność drugiego współtowarzysza połączył on z tym trafnym rzutem oka na życie, który nauczycielowi zjednał przezwisko „prawdziwego oka.“ Z pomiędzy wielu prac, jakie przypisywano młodzieńczemu Leonardowi, najautentyczniejszym jest mały fresk na zewnętrznej ścianie klasztoru św. Onufrego, gdzie w ostatnich chwilach życia przebywał Tasso, spoglądając z pod cienistych cyprysów na panoramę Rzymu. Wielki karton z holdem Trzech królów w Uffiziach florenckich pokazuje zarówno w układzie, jak i w wyrazie figur samoistnego mistrza. Około 1492 r. powołany został Leonardo do Medyolanu, gdzie przeżył osiemnaście lat najpiękniejszej pory życia. Przedewszystkiemu zajął się tu modelowaniem kolosalnej konnej statuy Franciszka Sforzy. Na nieszczęście dzieło to, już gotowe do odlania, użyte zostało ku oświetleniu jednego z tych uroczystych pochodów, które Leonardo tylekroć urządził, i przytęm uległo pogruchotaniu; niezrażony tym mistrz doprowadził swą pracę nowo do pożądanego stanu, ale ówczesne wojenne wypadki nie dozwoliły na uskutecznienie odlania i po wejściu zwyciężczych Francuzów, model ten służył za cel do strzelania gaskońskim łucznikom. Głównym dziełem mistrza pozostała „Wierczerza,“ znajdująca się w refektarzu klasztoru Santa Maria delle Grazie. Chcąc obraz ten wykonać olejno na ścianie, pokrył artysta mur powłoką mastyksu, w skutek wilgoci jednakże i uszkodzenia przez powódź, areydziele to uległo częściowemu zniszczeniu. W ostatnich czasach próbowano uwolnić utwór Leonarda od późniejszych przydatków i przeróbek, na szczęście bowiem przechowały się dotąd stare kopie pojedynczych głów tej kompozycji. Układ sam obrazu jaśnieje mistrzostwem. Uczniowie siedzą tu szeregiem przy długim stole. Chrystus, pośrodku umieszczony, wyrzekł widocznie dopiero co słowa: „Jeden z was zdradził mnie!“ Wyraży te, jak błyskawica, wstrząsają wszystkich, wywołując na każdym obliczu, odpowiednio do charakteru osoby, odmienne wrażenie. Jedność wśród różnorodności osiągnięta tu została w najszcześniejszy sposób: niepokój i czystość sumienia, cichy smutek i spólcucie posunięte do przerażenia, a nawet do palającego gniewu i żądzy zemsty; szept, dopytywanie się, zastanawianie się zdumionego umysłu i wybuchający popęd do czynu odzwierciedla się nie tylko w rozmaitych obliczach, lecz udziela się zarazem całemu ciału, któremu nadaje odpowiednią postawę, a szczególnie charakterystyczne gesty rąk. Ta sama jedność wśród różnorodności widnieje w harmonijnym układzie linii, w budowie i układzie części całego dzieła. Po obu stronach Chrystusa, uczniowie tworzą trzyosobowe grupy; wygląda to jakby podwójna fala wychodziła od głównej postaci i zbiegała się ku niej; grupy te ściśle się wiążą ze sobą i wszystkie odnoszą się do Chrystusa. Każda pojedyncza postać stanowi sama w sobie zupełnie odrębną osobistość, choć zarazem ściśle się wiąże z architektoniczną symetrią całości.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Krucjata filozofii oświaty.

Przyczynek do stuletniego obchodu ogłoszenia niepodległości Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej.

(Dalszy ciąg.)

II.

Dnia 17 października 1777 r. oddział Amerykanów pod dowództwem generała Gates, niedaleko Saratogi, zmusił do kapitulacji przeszło sześć tysięcy Anglików, dowodzonych przez generała Burgoyne. Wojsku angielskiemu pozwolono udać się swobodnie do Bostonu, ale ztamtąd musiało

odpłynąć do Europy i zobowiązać się że do końca wojny przeciw Ameryce służyć nie będzie.

Wiadomość o tym zwycięstwie rozstrzygnęła o urzędowym udziale Francji w walce przeciw Anglii. Wprawdzie Franklin uczynił był wszystko co tylko mógł, aby opinią publiczną w Paryżu przejąć zapalem dla sprawy swoich ziomków; wprawdzie publiczność przyklasnęła poświęceniu i ofiarności młodego margrabiego Lafayetta; wszystko to jednak nie zdołało wpłynąć na ostateczną decyzję. Wprawdzie Ludwik XVI, pozbywszy się pewnych przesądów, nie bez współczucia słuchał ministra Vergennes, ale słabość nie daje żadnej rękojmi: żeby znaleźć pomoc, trzeba być silnym. Franklin wiedział o tym bardzo dobrze i jako głęboki znawca natury ludzkiej, z utęsknieniem oczekiwał jakiego szczęśliwego wypadku, któryby wahanu się Ludwika koniec położył.

Aż nareszcie nadeszła wieść o owiej kapitulacji pod Saratogą i sprawa u króla została wygrana. Dnia 12 grudnia 1777 r. obecni w Paryżu pełnomocnicy Stanów zjednoczonych, Franklin, Silas Deane i Artur Lee, otrzymali posłuchanie u pana Vergennes, który ich zawiadomił, że król postanowił uznać niepodległość walczących osad i z pełnomocnikami kongresu układ zawrzeć. W pięć dni potem Gérard, sekretarz pana Vergennes, oznajmił im, że król chce więcej nawet zrobić, nie tylko bowiem uzna niepodległość Amerykanów, ale do jej wywalenia im dopomoże. Z tych rokowań przedwstępnych wywiązał się wkońcu traktat handlowy i odporny między Francją i Ameryką, dnia 6 lutego 1778 r. przez obie strony podpisany. Monarchia katolicka i protestancka republika, łacińska i anglosaksońska rasa związały się przymierzem—królewskość z łaski Bożej wystąpiła w obronie wszechwładztwa narodów, protekcyjnemu systemowi hołdująca Francya, w obronie wolności handlu.

I Franklin dożył dnia pełnego dłań dumy i radości. W towarzystwie dwóch swoich kolegów, wraz z posłami pruskim i toskańskim, którzy listy swoje wierzytelne przedstawić mieli, ukazał się dnia 20 marca na zamku wersalskim. Miał na sobie frak z prostego manszestru, w którym prezentował się już był na dworze Jerzego III—o króla angielskiego i którego angielski parlament jeszcze nie był zapomniał—a okulary jego, kapełusz z szerokimi skrzydłami, który trzymał pod pachą, i siwy włos w nieładzie, budziły ciekawość i uśmiech w dworakach. Ludwik XVI te tylko powiedział doń słowa: „Pragnę, ażeby kongres zaufał mojej przyjaźni.“ I Marya Antonina przyjęła u siebie zacnego starca, o którym Turgot ten znany i pełen znaczenia heksametr ułożył:

„Eripuit coelo fulmen, sceptrumque tyrannis.“

Drugim dniem pamiętnym dla amerykańskiego drukarza, badacza przyrody, pisarza ludowego i męża stanu, było spotkanie się jego z Voltairem, który mając już lat osiemdziesiąt cztery, wybrał się z Fernay, żeby raz jeszcze skosztować słodyczy popularności, która, co prawda, zgon jego przyspieszyć miała. Amerykanin przyprowadził chorążemu francuzkich filozofów oświaty wnuka swojego. Voltaire nadzwyczaj serdecznie przywitał się z Franklinem, a dziecku położył rękę na główce i rzekł: „*God and liberty!*“ Dnia 29 kwietnia spotkali się jeszcze raz dwaj genialni starcy w Akademii. W oczach przyklaskującego zgromadzenia powstałi obaj głośni apostołowie wolności i uściskali się, uzmysławiając sojusz dwóch narodów i dwóch światów, które niebawem, walcząc obok siebie, równiny Nowej Anglii, Wirginii i Karoliny krwią swoją miały zrumienić. Była-to scena nieco teatralna, ale zupełnie trafiająca w smak Francuzów, lubiących demonstracje.

Dnia 13 marca 1778 r. margrabia de Noailles, ambasador francuzki w Londynie, wręczył angielskiemu sekretarzowi stanu lordowi Weymouth notę, zawiadamiającą gabinet angielski o zawartym w dniu 6-ym lutego traktacie. „Donosząc o tym—były słowa owiej noty—król francuzki najmocniej jest przekonany, że dwór Saint-James

ujrzy w tym nowy dowód nieustannej i szczerzej miłości pokoju, która jego królewską mość ożywia. Spodziewa on się, że król jegomości angielski, temi samymi powodowany uczuciami, wszystkiego będzie unikał, coby to dobre porozumienie naruszyć mogło; a w szczególności że przedsięwzięcie skuteczne środki, ażeby stosunkom między poddanymi jego królewskiej mości i Stanami Zjednoczonymi Ameryki północnej nie stawiało na zawadzie.“

Okrutna zaprawdę ironia, która u Jerzego III i ministra jego lorda North dziwny uśmiech wywołać musiała.

Jerzy III zakomunikował naturalnie parlamentowi notę ambasadora francuzkiego. Po jej odczytaniu w izbie wyższej, lord Rockingham wystąpił z wnioskiem, aby uprzedzić przymierze Francji z Ameryką, uznając niepodległość kolonii. Wtedy-to lord Chatam, starszy Pitt, bliski już śmierci, kazał się zanieść do parlamentu i tam wspaniałą swój śpiew łabędzi wyszeptał. „Nigdy nie będę głosował—rzekł—za wydarciem potomkowi domu brunszwickiego, spadkobiercy elektorowej Zofii, najpiękniejszej jego posiadłości. Mi lordowie! Jego królewska mość odziedziczył zarówno wielkie, jak powszechnego szacunku używające państwo. Mamyż chwałę tego państwa zaćmić, niekzernie z praw naszych się wyzuwając? Mamyż się ugiąć przed domem Burbonów? Zaprawdę, naród nie jest już tym, czém był niegdys. Czyż lud, który przed siedemnastoma laty całemu światu był postrachem, tak już upadł nisko, żeby miał dzisiaj odwiecznemu wrogowi swojemu powiedzieć: Weź wszystko co mamy, tylko zostaw nas w spokoju? Nie, to niepodobna! Ja nie napadam nikogo, nie pożądam miejsca nieczyjego, nie chcę łączyć się z ludźmi, którzy się przy błędach swoich upierają; lecz jeżeli już w imię nieba jest rzeczą nieodbitą potrzebną między pokojem a wojną wybierać—to czemu bez namysłu wojny nie rozpocząć? Nie znam zasobów państwa dokładnie, ale tego jestem pewny, że one wystarczą na podtrzymanie słusznych praw naszych. Milordowie, każde postanowienie lepszym jest od rozpaczki. Spróbujmy przynajmniej, a jeśli musimy upaść, to upadniemy jako mężowie.“

Książę Richmond odpowiedział: „Nikt wyżej odemnie nie szacuje wielkiego imienia Chatama; ale imię to nie może uczynić niepodobieństwa do wykonania podobnym. Położenie rzeczy nie jest już takim, jakim je szlachetny lord, występując z gabinetu, zostawił. Wtedy mieliśmy Amerykę za sobą, dziś jest ona przeciwko nam; wtedy Anglia i Ameryka stawiały czoło Francji i Hiszpanii; dziś Francya, Hiszpania i Ameryka sprzymierzyły się przeciwko nam.“

Chatam podniósł się jeszcze raz, ale atak apoplektyczny przerwał mu mowę. Posiedzenie zostało zawieszono. Umiągającego zaniecono do pobliskiego domu; ale Chatam żył jeszcze miesiąc. Potem wielkiego nieboszczyka, jednego z najznakomitszych mężów stanu i ludzi, jakich kiedykolwiek posiadała Anglia, pochowano w westminsterskim opactwie.

Mowa jego atoli wywarła swój skutek. Po tym pamiętnym posiedzeniu ambasador angielski w Paryżu, lord Stormont, otrzymał polecenie, aby zażądał pasportów, podczas gdy z drugiej strony margrabia de Noailles czempredżę Londyn opuścił.

Dnia 10 kwietnia 1778 r. gwarny ruch w porcie bulońskim oznajmił, że Francya traktat z 6 lutego zaczęła w wykonanie wprowadzać. Flota, złożona z czterestu okrętów wojennych i czterech fregat, stanęła niebawem pod żaglami. Dowodzona przez hrabiego d'Estaing, miała na swoim pokładzie pierwszego reprezentanta Francji w Ameryce, sekretarza ministra spraw zagranicznych, Gérarda, i zapas żywności na dziewięć miesięcy.

(Dokończenie nastąpi).